

ODGŁOSY

ROK XX NR 43 (1037)
23 PAŹDZIERNIKA 1977 R.
CENA 3 ZŁ



str. 6-7

wiersze poetów radzieckich



ANDRZEJ BLAJER

ALTERNATYWY POLITYKI

Momentem przełomowym w rozwoju stosunków między Polską i RFN było podpisanie w grudniu 1970 roku „układu o podstawach normalizacji między Polską i RFN”, który wraz z układami zawartymi przez RFN z ZSRR, NRD i CSRS zamyka ów długi proces uznawania polityczno-terytorialnych zmian w Europie, będących następstwem finału II wojny światowej. Zostały więc w ten sposób stworzone niezbędne podstawy do ukształtowania nowego systemu bezpieczeństwa i współpracy ogólnoeuropejskiej.

Układ grudniowy wyłonił płaszczyznę dla znormalizowania stosunków państwowych między PRL a RFN, wywierając zarazem niebagatelny wpływ na rozwój sytuacji i atmosfery politycznej w Europie Środkowej. Usunął on podstawową przeszkodę w procesie przebudowy wzajemnych stosunków, jaką było w okresie dwudziestoletniej polityki RFN kwestionowanie naszej granicy zachodniej i wysuwanie roszczeń terytorialnych.

W konsekwencji wejścia w życie układu, we wrześniu 1972 roku nastąpiło nawiązanie stosunków dyplomatycznych między naszymi krajami. Od początku jednak dla nikogo nie ulegało wątpliwości, że proces normalizacji będzie zjawiskiem złożonym i osiągnięcie w nim zdecydowanego postępu nie będzie ani łatwe, ani szybkie. Jego głównym i zarazem niezbędnym elementem było bowiem usunięcie z życia wewnętrznego RFN wszystkich przejawów rewizjonizmu wobec Polski. Pociągało to za sobą konsekwencje w postaci konieczności rewizji ustawodawstwa RFN, a zwłaszcza ustawy o obywatelstwie z 1937 roku, dokonania zasadniczych zmian odnośnie treści i sposobu rozpowszechniania informacji o Polsce, z czym wiązała się m. in. nie rozstrzygnięta notabene do dnia dzisiejszego kwestia rewizji treści zachodnioniemieckich podręczników szkolnych i uniwersyteckich.

Niewątpliwie ważnym wydarzeniem w procesie normalizacji wzajemnych stosunków było uzgodnienie przez Edwarda Gierka i Helmuta Schmidta podczas helsińskiej sesji podpisania Aktu Końcowego Konferencji Bezpieczeństwa Europejskiego i Współpracy (1 sierpnia 1975 roku), kompleksu porozumień i umów, czym stworzono niezbędne przesłanki nadania właściwej rangi przyszłej współpracy między naszymi państwami.

Dzięki temu powstały warunki do owocnego współdziałania obu krajów w wielu dziedzinach, zwłaszcza w sferze gospodarczej, naukowo-technicznej i kulturalnej. Wyrazem przemian, jakie dokonały się w stosunkach polsko-zachodnioniemieckich była ubiegłoroczna wizyta w Republice Federalnej I sekretarza KC PZPR, Edwarda Gierka.

Jak już wspomniano na wstępie, konsekwencje decyzji koalicyjnego rządu Brandta-Scheela odnośnie uznania realiów powojennego porządku europejskiego nie ograniczały się jedynie do zmian w stosunkach dwustronnych RFN z państwami socjalistycznymi. Układy wschodnie Republiki Federalnej w sposób istotny wpłynęły bowiem na klimat polityczny na naszym kontynencie, czyniąc możliwym zainicjowanie i pomyślną realizację przebiegu prac KBWE oraz stając się jednocześnie drugą (obok układów zachodnich) główną osią polityki zagranicznej RFN. I tak oto dotykamy zasadniczego celu niniejszego artykułu, który ma stanowić próbę ukazania procesu kształtowania się i ewolucji zachodnioniemieckiej Aussenpolitik w kontekście owych dwóch osi, będących determinantami wizerunku współczesnego świata w politycznej wizji Republiki Federalnej.

Na wstępie konieczne jest naszkicowanie sytuacji wyjściowej, jaka poprzedziła proces, który doprowadził do zawarcia tzw. układów zachodnich („układu ogólnego w sprawie nowego położenia prawnego RFN” podpisanego w Bonn 26 maja 1952 roku przez trzy mocarstwa zachodnie i Republikę Federalną oraz zawartego następnego dnia w Paryżu: „traktatu o utworzeniu Europejskiej Wspólnoty Obronnej”).

Andrzej Makowiecki

MAKUMBA SCHEIBLERÓW

korespondencja własna z Brazylii

4

Eugeniusz Iwanicki

kadry dla rolnictwa

3

CZY ŁÓDŹ BĘDZIE MIAŁA SWOJĄ MONETĘ PAMIĄTKOWĄ?

Zacznijmy od przypomnienia, że w m-cu czerwcu br. minęła 72 rocznica tragicznych i krwawych dni łódzkich 1905 r. W ogóle rok ten był dla Łodzi pełen wydarzeń.

Doszło wtedy do krwawych walk ulicznych, w których stronę przegraną musieli być łódzcy robotnicy. Padło ich w tej rzezi około 500 a ponad tysiąc było rannych. Wydarzenia te jak pisał znany działacz i kronikarz polskiego ruchu robotniczego Adam Próchnik — „wysunęły nagle Łódź na czoło ruchu rewolucyjnego w Polsce i zmusiły ją do przeżycia najkrwawszych dni swych dzie-

jów...". Natomiast wybitny polski i rosyjski działacz polityczny Feliks Dzierżyński tak skomentował to łódzkie powstanie: — „Zaszczyt uczynienia pierwszej próby powstania, pierwszej masowej walki barykadowej w państwie carów, przypadł w udziale polskiemu proletariatu i miastu Łódź”.

Sam W. I. Lenin wysoko ocenim bohaterstwo łódzkich robotników i przyznał, że było ono „pierwszym zbrojnym wystąpieniem robotników w imperium carskim...”. Łódzkie czerecwcowe powstanie w 1905 roku odbiło się wielkim echem w świecie. Pokazało ono „wszyst-

kim wiodącą rolę klasy robotniczej w walce o wyzwolenie narodowe i społeczne. Dopiero po latach Polska Ludowa miała to odpowiednio ocenić i wynagrodzić. Mówi o tym poniższy tekst.

„Uchwała Rady Państwa z dnia 14 października 1960 roku Nr 0/242. W 55 rocznicę bohaterstwa walki klasy robotniczej Łódź w Rewolucji 1905 roku, w uznaniu jej szczególnych zasług w długoletniej rewolucyjnej walce mas pracujących Polski o społeczne i narodowe wyzwolenie, za wybitny wkład w budownictwo socjalistyczne w Polsce Ludowej

odznaczone zostaje Orderem Budowniczych Polski Ludowej miasto Łódź.

W 1975 roku nasze miasto uroczyste obchodziło 70 rocznicę walk zbrojnych 1905 roku w Łodzi. Temat ten był poruszony w prasie, radiu, telewizji, odbyło się szereg akademii, spotkań oraz odsłonięto na Zdrowiu pomnik — symbol walk rewolucyjnych łódzkiego proletariatu. Były to jednak tylko uroczystości lokalne, o których przeciętny mieszkaniec naszego kraju wie bardzo mało lub nawet wcale. A chciałoby się te nasze łódzkie tradycje walk rewolucyjnych rozpropagować na całą Polskę, aby każdy obywatel naszego kraju o nich wiedział.

Właśnie takim propagandowym czynnikiem, niedrogim, a jednak łatwo dostępnym dla każdego obywatela byłaby pamiątkowa moneta wybita z tej okazji. Do tej pory zostało

wybitych 13 typów pamiątkowych monet 10 zł z czego aż 8 związanych jest konkretnie z jakimś miastem lub regionem: Warszawą (3 szt.), Krakowem (2 szt.), Śląskiem (1 szt.), Gdynią (1 szt.) oraz Ziemią Zachodnimi i Północnymi (1 szt.). W roku 1980, w czerwcu (a więc już za 3 lata) odbędzie się w Łodzi obchody 75 rocznicy walk zbrojnych łódzkiego proletariatu 1905 roku. Oprócz innych zamierzeń w tym kierunku, upamiętnijmy tę datę 1905 roku właśnie wybitiem pamiątkowej monety, która by w całym kraju mówiła o tych wydarzeniach w Łodzi.

Mając powyższe na uwadze wystąpiłem w br. z postulatem o wybitcie takiej pamiątkowej „łódzkiej” monety do Skarbcza Emisyjnego Narodowego Banku Polskiego, gdzie wg nieoficjalnej wieści, która dotarła do mnie, propozycja została uznana za ciekawą. W

tych dniach otrzymałem pismo od Prezesa Miasta Łodzi tow. Jerzego Lorensa, który pisze: „W pełni podzielam poglądy Obywatela o zasadności realizacji wniosku, ze względu na ogromne walory wychowawcze i popularyzatorskie. Jednocześnie zawiadamiam, że w sprawie tej wystąpiłem do Prezesa Narodowego Banku Polskiego z poparciem dla słusznej i ze wszech miar pozytywnej inicjatywy Obywatela...”.

Nie wątpię, że i całe łódzkie społeczeństwo poprze mój wniosek i udzieli swego poparcia.

A może by tak ktoś z łódzkich artystów naszkicował jak wyobraża sobie główną stronę tej monety? Bo przecież nie jest to tylko sprawa moja lecz nas wszystkich — łodzian.

ST. BULKIEWICZ

FILM

DIABLI MNIE BIORĄ

Choć sezon letni już dość dawno po nami, typ „latwej, lekkiej i przyjemnej” rozrywki nadal króluje na premierowych ekranach naszych kin. Widać cieszy się powodzeniem, skoro w dwóch kinach naraz oglądać można „Szkarałatnego pirata”, w dwóch innych „Cenny depozyt”, zaś filmy „Powrót różowej pantery” i „Diabli mnie biorą” zmieniły tylko lokalizację, przechodząc z „Bałtyku” do innych „premierowych” kin. W układzie tym najdziwniej, bo chyba trzeci już miesiąc, w kolejnym „premierowym” kinie grają „Mistrza rewolweru”. Znaczeniową pojemność słowa premierowe

przesłata wobec niego być adekwatna. W kontekście tych danych (na dzień 10 października 1977 r.) bronią się swą premierowością „Intryga rodzinna” Alfreda Hitchcocka, no i „Wielka podróż Bolka i Lolka”, która długo jeszcze swych widzów przyciągnie.

Choć o podjętym tu temacie pisałam w ostatnich miesiącach już kilkakrotnie, raz jeszcze zapytać muszę o to, co dzieje się z naszym filmowym repertuarem, boć przecież „ogórki” przemienili i czasem kanikuły tłumaczy go już nie sposób.

Nawet tradycyjnie fetowany jako Miesiąc Filmu Polskiego — wrzesień, w tym roku nie

przyniósł nam wiele. Jedynie „Rebus” Tomasza Żygadły z honorami bronił polskich barw, skromnie towarzyszył mu „Milioner” Sylwestra Szyszki, jeszcze skromniej „Zakręt” Stanisława Brejdygant. Na nagrodzone w Gdańsku takie filmy, jak „Śmierć prezydenta” Jerzego Kawalerowicza, „Tańczący jastrzęb” Grzegorza Królikiewicza, a także na „Sprawę Gorgonowej” Janusza Majewskiego ciągle jeszcze czekamy, choć organizatorzy gdańskiego festiwalu zapowiadali, że między innymi Łódź będzie miejscem drugiej edycji konkursowego repertuaru.

Wspomnijmy jeszcze, że we wrześniu jednym premierowym filmem broniącym honoru wielkiej sztuki był film „Twarzą w twarz” Ingmara Bergmana, mignął on jednak jedynie na ekranie kina „Wiół-

niarz” i... skończyło się. Pozostała rozrywka „lekka, łatwa i przyjemna”, której trudno być wrogim, ale której nie sposób traktować jako jedynego nurtu filmowej twórczości. Fakt, że pewne tytuły utrzymują się w premierowych kinach tygodniami i miesiącami dowodzi, że mają one swoją publiczność. Pamiętać jednak należy, że publiczność kinowa nie jest ciałem jednorodnym i należy mieć na uwadze także wielorakość jej gustów.

Diabli mnie biorą, że skądinąd wiele sympatyczny francuski film pt. „Diabli mnie biorą” uczynić trzeba kolejnym typowym od wielu miesięcy przedmiotem recenzentkiej refleksji. Film ten jest jednak jeszcze innym przykładem do rozważań o repertuarowej polityce. Równoległe z nim wszedł na ekrany inny francuski film

— jego tytuł „Cenny depozyt”.

Producentem obu filmów jest niejaki pan Christian Fechner — pierwszoplanowa dziś postać paraskiego „show-bussinesu”. Reżyserem obu filmów jest pan Claude Zidi. Główne role w obu filmach grają: Jane Birkin i Pierre Richard. Oba filmy dosłownie w tym samym tygodniu wchodziły na ekrany łódzkich kin. Czegoż można oczekiwać od nich oczekiwać, na jaki moment niespodzianki, tak istotnej w komedii, czekać? O co w takim planowaniu repertuaru chodziło?

Choć Jane Birkin jest postacią niezwykle wdzięczną, a Pierre Richard sytuuje się dziś w czołowie francuskich komików, oglądanie ich popisów aktorskich dzień po dniu nie stanowi największej atrakcji. Porównując film „Diabli mnie biorą” z „Cennym depozytem”

można rzec, iż pierwszy z nich jest nieco śmieszniejszy od drugiego, zgrzeczniejszy w mnościu gagów — ale można też rzec odwrotnie. Nic z tego nie wynika poza tym, że istotnie Claude Zidi zgrzecznie wykorzystuje przebogate doświadczenia francuskiej burleski teatralnej i przebogate także doświadczenia światowej burleski filmowej, że w „Diabli mnie biorą” ci, którzy znają dzieje filmowej komedii, odnajdują wiele pomysłów czy nawet cytatów z klasycznych dla tego gatunku filmów.

„Diabli mnie biorą” to film prawdziwie śmieszny — sądzę jednak, że wielu widzów śmiałości się na nim jeszcze głosić, gdyby mniej smutno było w naszych kinach.

EWA NURCZYŃSKA

NA ZACHÓD OD ŁĄBY

STARE DOBRE CZASY

Angielski dziennikarz John Yonug wybrał się do Milford Haven. To spory port. Rozłożony malowniczo na zachodnim wybrzeżu Walii. Co Young zobaczył, opisał w londyńskim „Times”, dzienniku czytanim przez te bardziej wykształcone i najbardziej wpływowe kręgi brytyjskiej społeczności. Tytuł reportażu — „Bezrobocie i naftowy boom”. — Niby sprzeczność. Treść reportażu tytuł ten jednak usprawiedliwia.

Co się dzieje w Milford Haven?

Co się dzieje na dalekiej angielskiej prowincji?

Barbara Jenkins to gospodyni domowa. Jej mąż, wykwalifikowany stolarz stracił co dopiero pracę. Spadło to na ro-

dzinę jak grom z jasnego nieba. Ale nawet gdy Jenkins przynosił do domu 50 funtów tygodniówki, to wcale się nie przelewał. Nawet wówczas pani Jenkins nie mogła sobie pozwolić na centralne ogrzewanie elektryczne w mieszkaniu. Płaciła za nie 10 funtów tygodniowo. Na szczęście Barbara Jenkins trochę dorabia. Pracuje jako pomoc domowa u pewnej starszej już lady.

— Kiedy w sklepie placę 6 funtów rachunek — powiada pani Jenkins — a potem zaglądam do koszyka i porównuję, to aż zieleńię Jak to, że trochę herbaty, trochę cukru i to inne drobniaki i takie ciężkie pieniądze? Ludzie, co to znaczy, po prostu krew mnie

zalewa. To nie życie tylko wegetacja.

Margaret Walsh pracuje przez dwie noce w tygodniu jako barmanka w jednym z przyportowych pubów.

— Kiedy przychodzi do płacenia rachunku, to człowiek rzeczywiście dostaje szoku, choć już wszyscy przywykliśmy do tych obłędnie rosnących cen. Ludzie drodzy, w zeszłym tygodniu kupiłam trzewiczki dla dziecka i musiałam za nie zapłacić 5 funtów. Do czego to podobne. Na dziecko wydaję już więcej niż na siebie samą. Te droższe rzeczy szalenie podobały.

Rozmowy, rozmowy, rozmowy, prowadzone w tym dobrym stylu anglosaskiej dzien-

nikarki. Z tych rozmów jak z mozaiki wyłania się obraz nader ponury. Bezrobocie stało się plagą całej niemal Walii. Wdarło się też do kwitających ongiś portów. I to jest właśnie najbardziej zaskakujące. Milford Haven stanowiąc nie tak jeszcze dawno centrum rozwiniętego rybołówstwa. Ta starsza generacja dobrze pamięta te stare i dobre czasy, kiedy to w porcie cumowało po 140 „deep-sea-trawlers”, dalekomskich trawlerów. Dziś port opustoszał. Jest martwy. Choć niepełnie. Przy nabrzeżach wysokozęły 4 rafinerie ropy dołożonej z Morza Północnego.

Kto na tym skorzystał?

Kto stracił?

Gospodarka Wielkiej Brytanii zyskała na pewno. Własna ropa. Własna benzyna i własne oleje. Jakież to kolosalne odciążenie dla chronicznego od lat

deficytu w bilansie handlowym. Mieszkańcy Milford Haven na tym stracili. Nowe miejsca pracy w rafineriach właśnie? Złudzenie. Te obiekty są omalże w pełni zautomatyzowane. Praca jest, oczywiście, lecz dla niewielkiej tylko garstki inżynierów i techników. Rafinerie są, prawda. Lecz wymarło rybołówstwo, z którego żyło ongiś kilkadziesiąt rodzin. Zamaria turystyka, z której żyło kilkadziesiąt hotelarzy i restauratorów. Plaże są puste. Wiadomo czym pachnie wielka chemia.

John Yonug przytacza na samym końcu swego reportażu wypowiedź Diany Bacon. Kobieta rozwiodła się. Jest bez pracy. Ma na głowie czwórke małych dzieci. Żyje z socjalnych zasiłków. Co najciekawsze, wcale nie narzeka.

— Co tam — oznajmia Diana Bacon. — Nie jestem polity-

kiem i te sprawy mnie nie obchodzą. Jakos się żyje. Przecież mogłoby być jeszcze gorzej, no nie? Oszczędzam na jedzeniu, bo warzywa to już mam z ogródka. Najgorzej jest z odzieniem, bo niemożliwie podraża. Niech tam, moja siostra wróciła właśnie z Norwegii. Tam dopiero się dzieje. „Things there are really horrific...”

Wydaje mi się teraz, że w tej ostatniej wypowiedzi niezmiernie dużo jest sarkazmu. Typowo angielskiego. Bo Norwegia też przeżywa boom naftowy z wszystkimi tego boomu konsekwencjami.

J.B.

DAWNA ŁÓDŹ

DOM ZABAW NA WÓLCIE

Nie najlepsze świadectwo wystawił pierwszym osadnikom przemysłowym w Łodzi komisarz fabryczny, Antoni Lelewski, pisząc w 1834 roku, że najchętniej „zbijwajace od pracy chwile podług zwyczajów fałce i szklance po szynkach poświęcając”. Cóż jednak mieli oni czynić z wolnym czasem, skoro w mieście nie było innych rozrywek. W szynku, na pogwarkach przy piwie i gorzale, zapominali o codziennych kłopotach.

W Łodzi istniało w owych latach około 40 szynków, należących przeważnie do Niem-

ców. Nawet w zabudowaniach niektórych fabryk znajdowały się szynki prowadzone przez właścicieli, bądź też oddawane w dzierżawę. Zapisy archiwalne wspominają o szynku przy przedziałni K. F. Wendischa na Księży Młynie. Również inny przemysłowiec łódzki, Ludwik Geyer, otrzymał w 1834 roku koncesję na utrzymywanie „szynku krajowych trunków”. Szynk ten znajdował się przy ul. Piotrkowskiej tuż za staniem. Sprzedawano w nim wódkę i piwo oraz niektóre artykuły spożywcze. Można tu było także pograć w bilard czy

kręgle, a w dni świąteczne posłuchać muzyki. Szynk przyfabryczny udzielał kredytu robotnikom geyerowskim, którzy to spłacali przy najbliższej wypłacie. Zatrważające pijaństwo doprowadziło do wydania w 1844 roku zarządzeń ograniczających liczbę szynków w mieście. Wówczas to zamknięto wszystkie szynki przyfabryczne, a więc także i geyerowski. Fabrykant wpadł wtedy na pomysł, ażeby w jednym ze swoich budynków urządzać dom zabaw, w którym mieszkańcy Wólki — bo tak nazywano pod-

óweczas południową część Łodzi — wolny czas mogli by spędzać na tańcach i innych rozrywkach towarzyskich.

Wybór padł na obiekt fabryczny położony przy ul. Piotrkowskiej nr 280. Tutaj, pod bokiem przetrwał geyerowski, w otoczeniu zieleni stał piętrowy murowany budynek, kryty gontami. Na dole mieściły się dwie izby z wejściem od Piotrkowskiej, górę zaś zajmowała obszerna sala. W pomieszczeniach tych uprzednio znajdowały się: blacharnia, ślusarnia i stolarnia. Po niewielkich przeróbkach budynek zaczął spełniać swoją nową funkcję. Parter zajęto pod gospodę ludową, a piętro przeznaczono na zabawy taneczne.

W Domu Zabaw na Wólce o-

prócz niedzielnych potańcówek, popisów niemieckiego chóru męskiego, którego prezesem był Ludwik Geyer, odbywały się także przedstawienia wędrownych trup teatralnych. W latach 1846/1847 gościło tu towarzystwo dramatyczne Feliksa Pietrzykowskiego, a w 1848 roku trupa objazdowa pod kierownictwem Wincentego Raszewskiego. W przerwach między występami aktorów zawodowych na scenie w Domu Zabaw popisowali się miejscowi amatorzy, dając dwa razy w miesiącu przedstawienia, na przemian polskie i niemieckie. Wystawiano przeważnie krótkie komedyjki, po których odbywały się tańce.

Dom Zabaw przetrwał do początków lat pięćdziesiątych

WACŁAW PAWLAK

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, WIESLAW JAŹDZYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁÓDKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji). Stałe współpracują: JAN BABIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD ŚLAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

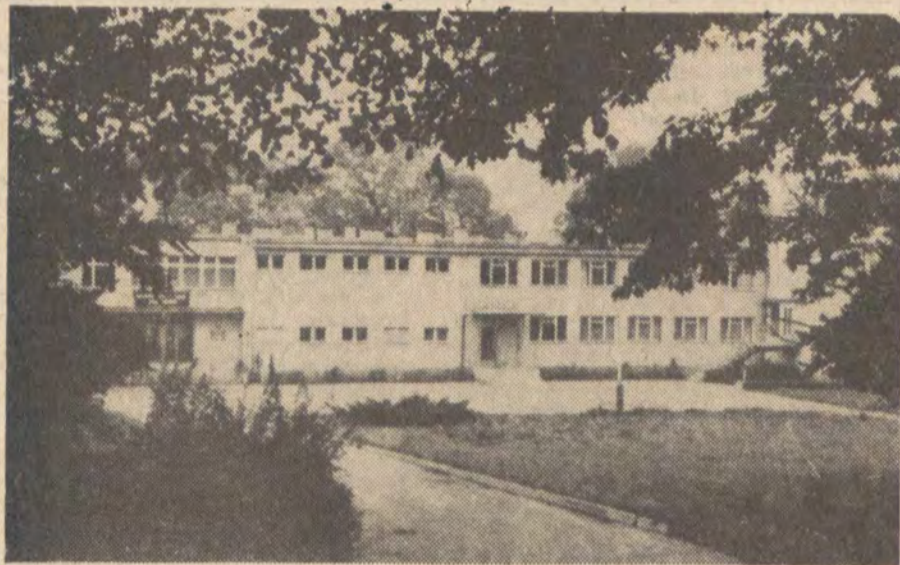


Foto: Archiwum

Sieradzkie — to rolnictwo. Bowiem zanim „ruszy” Jeziorsko, przyszłe zagłębienie hodowlane, wizytówką województwa pozostanie uprawa płodów rolnych. Inwestycje Jeziorska na pewno zmienią proporcje. Obok gospodarstw 15—20 hektarowych, zmechanizowanych i ukierunkowanych produkcyjnie, staną nowoczesne obory na 1.500 sztuk bydła każda. Z pięciu takich obór w 1981 r. sieradzkie przekaże do przerobu 24 mln litrów mleka. Obok tego, w części wschodniej, na gorszych glebach zostaną zbudowane podobne duże obory dla owiec.

Jednakże głównym bogactwem sieradzkiego nadal pozostanie ziemia. Dlatego tak dużą wagę przywiązuje się tu do kształcenia wysoko wyspecjalizowanych kadr dla rolnictwa. W województwie działa 39 szkół o profilu rolniczym: technika rachunkowości rolnej, technika ogrodnicze, rolnicze, hodowlane, szkoły mechanizacji rolnictwa, studium ekonomiczne. W kontekście potrzeb i zamierzeń nie jest to sprawa przypadku. Gleba w Sieradzkim nie jest najwyższej klasy, przeważnie IV i V, to też bez pomocy nauki niewiele można z niej wydobyć. Jest jej jednak dużo: na ogólną powierzchnię 4.886 km kw. przypada aż 72,9 proc. użytków rolnych!

Przez dziesiątki lat rolnicy gospodarowali metodą przejętą od swoich rodziców. Największym osiągnięciem agrotechnicznym był plodozmian, sprzętem mechanicznym — pług konny. Było to możliwe w małych, rozdrobnionych gospodarstwach, nie ma to racji bytu obecnie.

1.

Zespół Szkół Rolniczych w Ostrowie. Kompleks budynków schowany głęboko w lasach. W jesiennym słońcu zarówno pałac po Szweycerach, byłych właścicieliach tych ziem, jak i nowoczesne budynki szkoły pociągnięte zostały złotą farbą. Dookoła trwa rewia kolorów: ugrzy, cynober, żółć i zielen. Alejki wysypane piaskiem gina w gąszczu srebrnych świerków, lip, kolorowych dębów pamiętających czasy kościuszkowskie. Przed szkołą, w parku, obok internatu klomby z kwiatami: pnąciami różnymi, dallami, aksamiłkami. Płożące jałowce jak rozłożyste kanapy odbijają się ciemną barwą zieleni od przyrudziałej trawy. W zbiorniku wodnym, który jako kolekcja roślin wodnych służy do celów dydaktycznych, barwne ryby. Cisza. Jedyne ptaki buszują w rozłożystych konarach drzew.

Słyszałem o tej szkole wiele. Mówi się, że stąd wychodzą najlepsi ogrodnicy.

— W 1945 roku — mówi dyrektor szkoły inż. Zygmunt Fornalik — majątek Szweycerów został rozparcelowany, na 50 hektarowej resztkówce powstało Liceum Ogrodnicze, 19 słuchaczy rekrutowało się z pobliskich wsi: Maurycy, Teodorów, Ostrowa. Przyszli w mundurach wojskowych i ubiorach partyzanckich. Walczyli z okupantem, teraz zapragnęli się uczyć. Taki był początek. Następnie był tu Ośrodek Szkolenia Rolniczego (kształcono meliorantów, mechanizatorów rolnictwa, hodowców), potem kolejno: Roczna Rolniczo-Ogrodnicza Szkoła dla Pracujących, 2-letnia Szkoła Ogrodnicza, Zasadnicza Szkoła Ogrodnicza. Dziś jest to już Zespół Szkół Rolniczych skupiający 3-letnie Technikum Ogrodnicze, 3-letnie Technikum Zoiczne dla Pracujących, dwuciągowa Zasadnicza Szkoła Rolnicza (dla młodzieży niepracującej) i Zasadniczą Szkołę Rolniczą. Ogółem uczy się w Ostrowie 600 osób (320 w szkołach dziennych i 288 zaocznie).

Przez okno widać grupki dziewcząt i chłopców w roboczych ubraniach. Wiem, że jesienią mają sporo pracy, każda godzina jest szczegółowo i pieczołowicie zaprogramowana. Dziś pracują przy wykopkach ziemniaków oraz przy sadzeniu i wykopywaniu truskawek. Dla laika kopanie ziemniaków jest rzeczą prostą i nie wymagającą wysiłku myślowego. Tu jest to jeden z ważnych elementów przygotowawczych do przyszłego zawodu. Pole dzieli się na działki dłu-

gości 25 m każda. Na każdej działce pracują 4 dziewczyny. Aby praca była racjonalna, dwie idą przodem i mając kalibrownik wybierają te większe ziemniaki, o średnicy ponad 4 cm. Takie ziemniaki — to ziemniaki konsumpcyjne. Dwie pozostałe zbierają z pola resztę. Te ziemniaki powędrują na przerób jako przemysłowe. W Ostrowie sadzi się cztery odmiany: Prima — bardzo wczesne, jadalne, o wysokich walorach smakowych, oraz odmiany: Prosa, No-tec i Lenino — odmiany późne, przemysłowe, skrobiowe. Kiedy kończyłem swój pobyt w Zespole Szkół Rolniczych uczniowie zebrali z 1 ha 20 ton ziemniaków!

Druga grupa pracowała przy truskawkach. W Ostrowie znajduje się „matecznik” i stąd sadzonki są rozsyłane do poszczególnych hodowców. Sadzono dziś odmianę typu Faworytka. Jest to średnio-wczesna odmiana, wytrzymała na transport i nadająca się na przetwory i konfitury. Wykopywano natomiast do wysyłki truskawki odmiany Midway — trudno znośca transport, lecz przeznaczona przede wszystkim dla przetwórstwa. Wykopano 30 tys. sadzonek tej odmiany w tzw. stopniu oryginalnym.

2.

Na tablicy głównego korytarza cytują z K. I. Gałczyńskiego: „Nie jesteśmy, by spożywać urok świata, ale po to, by go tworzyć”. Kiedy obserwuje się uczniów z Ostrowa, nasuwa się przekonanie, że dziewczęta i chłopcy tu przebywający rozumieją to hasło dosłownie. 85 proc. pochodzi z gospodarstw indywidualnych, 14 proc. — to synowie i córki ludzi z obsługi rolnictwa lub instytucji produkcyjnych (PGR, spółdzielnie produkcyjne), reszta — to młodzież wiejska, która z różnych powodów postanowiła uzyskać kwalifikacje ogrodnika. Ci liczą na zatrudnienie w kombinatach ogrodniczych Widzewa i Ksawerowa. A za potrzebowanie na wykwalifikowanych ogrodników jest ogromne, znacznie przewyższające możliwości szkoły. W ciągu lat 1959—1977 szkoły w Ostrowie opuściło 1.155 absolwentów. Dwie trzecie z tego podjęło pracę w różnych działach gospodarki rolnej, a jedna trzecia poszła na własne.

— Jesteśmy zasypywani listami z prośbą o kierowanie naszych absolwentów do poszczególnych zespołów ogrodniczo-rolniczych — mówi dyrektor Fornalik. — W całym kraju odczuwa się deficyt tego typu pracowników. Niestety, nie możemy wszystkich zadowolnić. Konieczna jest przeto modernizacja szkoły. Należałoby wykorzystać istniejące zaplecze do celów szkoleniowych, pobydować szatnie i pomieszczenia socjalne dla młodzieży. W internacie mieszka 160 osób ze szkół dziennych i 40 z technikum zaocznego. Część uczniów mieszka na kwaterach prywatnych, część dojeżdża. A więc potrzebny jest internat. Młodzież jest różna, z różnych środowisk wiejskich. A internat — to także miejsce wychowywania dla przyszłego życia zbiorowego. Uczniów co roku przybywa. Gros z nich dojeżdża, stąd nasze potrzeby. Ponadto należy wybudować budynek mieszkalny dla 18 rodzin nauczycielskich. Codzienna potrzeba zmusza nas do powołania nowych klaso-pracowni: z fizyki, chemii, gospodarstwa domowego i innych. Dopiero wtedy będziemy mogli osiągnąć zamierzoną liczbę 1.000 uczniów.

W najbliższych latach — budowa mieszkań dla nauczycieli w 1979 r., internatu w 1980 r. — rozpocznie się na wielką skalę rozbudowę Zespołu Szkół Rolniczych. Przede wszystkim potrzebny, 6-hektarowy obiekt ze wspólną kotłownią dla Łasku. Pozwoli to na całkowite zaopatrzenie województwa sieradzkiego w warzywa i kwiaty.

3.

Roczna produkcja Zespołu Szkół Rolniczych, który to zespół zajmuje 84 ha gruntu, a rocznie przybywa z Państwowego Funduszu Ziemi dalszych 30 ha — wynosi: z czterech zbóż podstawowych — 27 q z ha, ziemniaków — 210 q z ha, jedna krowa daje przeciętnie 4.100 litrów mle-

EUGENIUSZ IWANICKI

KADRY DLA ROLNICTWA

ka (średnia dla woj. sieradzkiego o połowę mniejsza), produkcja ogrodnicza (warzywnictwo i sadownictwo) wynosi ok. 850 tys. zł, produkcja ogrodnicza szklarniowa — ok. 700 tys. zł. Do 1980 r. powiększona zostanie uprawa warzyw do 20 ha, bowiem zostanie oddana do użytku nowa dziesięć.

Tak więc nie tylko nauczanie. Szkoła w Ostrowie jest poważnym zaopatrzeniowcem rynku konsumenta. Nad prawidłowym rozwojem i przebiegiem procesu kształcenia czuwa dwudziestoosobowa kadra nauczycieli i wychowawców. Jan Mazur, Anna Fornalik, Józef Miszczyk... Jednym z wykładowców był przez pewien czas były absolwent tej szkoły, Eugeniusz Bulski, który po ukończeniu SGGW wykładal tu sadownictwo.

Wychowawcy nie ograniczają się jedynie do prowadzenia zajęć, lecz włączają się w życie pozaszkolne młodzieży. Andrzej Roszkowski prowadzi zespół teatralny, Edward Slipki — zespół wokalnie-muzyczny liczący 22 osoby. W ogóle szkoła jest rozpięta i roztańczona: obok zespołu tańca ludowego i współczesnego, jest także własny chór. Zespoły jeżdżą z koncertami po województwie, uczestniczą w eliminacjach międzywojewódzkich.

Ostrow leży 5 km od Łasku. Autobus komunikacji miejskiej zajechał tu rzadko. Co robić po zakończeniu zajęć?

Obok życia kulturalnego rozwija się sport. Własnym sumptem zostało wybudowane boisko do gier zespołowych, a później stadion z prawdziwego zdarzenia, największy w woj. sieradzkiego (płyta do gry w piłkę nożną, bieżnia, trybuny), zbudowano halę sportową z pełnym zapleczem socjalnym (także jedna z największych w województwie). Szkoła doczekała się nawet własnego rekordzisty: Bronisław Węglewski na tym stadionie zajął I miejsce w województwie w biegach na 800 i 1.500 m.

Działają tu organizacje młodzieżowe i społeczne: ZSMP, TPR, LOK, PCK (członkowie tej ostatniej sprawują opiekę nad siedmioma rolnikami starcami ze wsi Teodory, Maurycyca i Ostrow, dostarczając im opału, kopiąc ogródki, a dwóm dostarczając codziennie gorące posiłki).

Praca pedagogiczna w szkole jest obciążona na lata. Absolwenci nie zrywają więzi ze szkołą. Kontynuacją pobytu w szkole są częste kontakty:

listowne, osobiste. Przyjeżdżają po radę, po sadzonki, nasiona, często po sprzęt ogrodniczy. Zwracają się po rady w sprawach osobistych. W szkolnej kronice są skrupulatnie notowane drogi życiowe każdego z absolwentów: jego dalsza nauka, awans społeczny.

— To pomaga nam lepiej zrozumieć naszych podopiecznych — mówi dyrektor — a także pozwala na zastosowanie w naszej pracy pedagogicznej coraz to nowych, zmodyfikowanych metod pracy z młodzieżą. Nie wyobrażam sobie sytuacji, w której kontakt szkoły z jej absolwentami, zostaby przerwany. Wzorzemy przecież jedną wielką rodzinę.

4.

A jak oceniają swój pobyt tu uczniowie? Czy przychodzą do szkoły, bo bez odpowiedniego dyplomu nie można dziś przejąć gospodarstwa po rodzicach? A może jest po prostu moda na ogrodnictwo?

Rozmawiałem z niektórymi, stawiając takie właśnie pytania. Pytałem także, czy w ich późniejszym życiu i pracy zawodowej szkoła odegra jakąkolwiek rolę.

Elżbieta Ustyniak z Szadku, uczennica III kl. Technikum Ogrodniczego, najlepsza w klasie: — O moim przyjeździe do tej szkoły zdecydowały tradycje rodzinne: dziadek i uciec są rolnikami, ogrodnikami pracującymi na działce 80 arów. Ale widzę dziś, że ich metody pracy były przestarzałe. Jak tylko wróce, natychmiast muszę zmodyfikować nasze ogrodnictwo poprzez mechanizację, właściwe stosowanie środków ochrony roślin, nawożenie. Dziś niepodobna dobrze gospodarować bez literatury fachowej: czytam „Owoce, warzywa, kwiaty” i „Hasło ogrodnicze”. Rodzice hodują wszystko po trochu, jak to robiono parę dziesiątków lat temu. To się nie opłaca. Wystarczy jeden, dwa gatunki. Np. tylko goździki w różnych odmianach.

Danuta Krata z Woźnik, uczennica I kl. technikum: — Rodzice posiadają gospodarstwo 4-hektarowe, na której uprawiają wyłącznie zboże, gdyż ziemia jest zaledwie V klasy. Nawet nie wyobrażali sobie, że można prowadzić ogrodnictwo pod folią, czy w szklarniach. Byli przekonani, że ogrodnictwo może być jedynie przygruntowe. W czasie tegorocznego lata przekonałam ich, że można. Zmonto-

wałam tunel foliowy, posadziłam pomidory. Udało się. Po skończeniu szkoły rozwinę hodowlę pomidorów i ogórków. W naszej okolicy nikt tego nie robi ze względu na ziemię. Wierzę, że mi się uda.

Krzysztof Dziecieliwski przyjechał z Długolek, z woj. plockiego. Jest uczniem III kl. technikum: — Rodzice mają gospodarstwo, ktoś je po nich musi przejąć. Gleby bardzo dobre, w sam raz pod uprawę warzyw i kwiatów. Ale rodzice tradycyjnie sieją zboże. Praca moich rodziców jest ciężka przynosi dobre wyniki. Chcę, by tym samym nakładem pracy wyniki były o wiele lepsze. Przyśność wsi — to specjalizacja. Tego nauczyłam mnie szkoła.

Arkadiusz Kobusiewicz z Szadku, uczeń III kl. technikum: — Rodzice gospodarzą na 5-hektarowym gospodarstwie. Czekają, aż ukończę szkołę, a wówczas zmienia profil produkcji. U nas w domu jestem drugą osobą, która będzie miała tytuł technika ogrodnika. Niedawno szkołę ukończyła siostra, ale na nią nie możemy liczyć, wyjdzie za mąż i pójdzie na swoje. W gospodarce liczy się syn. Pobuduję szklarnię i będę hodować goździki. Nie wymagają wielkiego wysiłku, a są chodliwe. Można byłoby uprawiać Anturium, lecz przy nich dużo pracy, choć jeden kwiat kosztuje 80 zł. Mając szklarnię 30x9 metrów, w ciągu jednego sezonu można uzyskać około 150 tys. złotych.

Odwiedziłem także byłego ucznia tej szkoły, który od paru lat prowadzi własne gospodarstwo. Ma już 4 ha jabłoni oraz specjalizuje się w hodowli róż i ich eksporcie do Szwecji. Jerzy Grobelny mieszka w Łopatkach i posiada 15-hektarowe gospodarstwo. Właściciel to już cały kombinat. Posiada ciągnik, specjalne pługi, głębogryzak, kultywator.

— Zanim człowiek poszedł do szkoły — mówi — był ciemny i myślał, że to, co robi ojciec, jest najlepsze. Później weryfikuje swoje przekonania, czyta, uczy się. Bez szkoły w Ostrowie byłbym zwyczajnym ogrodnikiem pracującym od świtu do nocy na grządkach, teraz jestem fachowcem w swojej branży.

Opuściłem Zespół Szkół Rolniczych w Ostrowie w przekonaniu, że właśnie tu kształcą się przyszłe kadry dla rolnictwa.



Foto: Archiwum



ANDRZEJ MAKOWIECKI

MAKUMBA SCHEIBLERÓW

(KORESPONDENCJA Z SAO PAULO)

1.
— Rua Barbarosa Lopes?
Kierowca nie zna takiej ulicy.
Zagaduję przechodnia podczas krótkiego postoju.
Nie zna.
Zaczęłam policjanta.
Nie zna!
Tymczasem autokar z marynarską wycieczką przebił się przez fawelę do Ogrodu Zoologicznego. Jest dwunasta. Upał wgnęła człowieka w ziemię, a nogi ledwo go niosą. Myśl, żeby odłączyć się od wycieczki, stawia włosy na głowie. Ogrom miejski, o którym masz już jakie takie wyobrażenie, osłabia reporterską wolę. Gdzie się tam będziesz tułł, facie? Pooglądaj sobie aligatory, nosorożce, żyrafy?... O, zobacz, na oczach brazylijskich kobiet i dzieci, porykując groźnie lew zabiera się do lwicy, która w tym cudownie lubiejącym kraju nie stanowi bynajmniej wyjątku — jest chętna, i to jeszcze jak! I nie stoi wcale a leży na boku przeciągając się jak kotka. A tobie ciągle w głowie senhor Scheibler. Podobno klepie biedę. Aż wierzyć się nie chce, że potomek takiej fortuny mógłby egzystować w lepiance na przedmieściu. Jednakże w Łodzi przedzali: — Skromnie tam, panie Makowiecki, skromnie! Pan mu powiedz żeby spakował toboły i wracał...
— Nie znam takiej ulicy — mówi bileter.
— A nie wie pan, gdzie mógłbym kupić plan miasta?
— Nie.
Wstadam do nagrzanego autokaru. Kierowca przewozi nas teraz w pobliże byłego pałacu Gubernatora, w którym mieści się obecnie muzeum. Tylko część marynarzy przejawia chęć zwiedzenia tego przybytku. Inni robią sobie zdjęcia pod pomnikiem PIONIERÓW — pierwszych legendarnych zdobywców kontynentu. Jak wszystkie tego typu monumenty, tak i ten przedstawia heroiczną syntezę podboju — kilku moczarnych ludzi wyciąga z morza na brzeg żaglową kryptę, reszta, pobrę-

kując mieczami, rusza w głąb lądu, na samych zaś czele widać starszyzna na koniach — zwierzętach nie znanych wcześniej Ameryce. Nieopodal pomnika, jak na ironię losu, bajeźnicie stary i obdarty Indianin próbuje wtrzyknąć przechodniom ludowe wyroby z gliny — równie pokorny wobec białych, jak Murzynów czy Mulatów. Wobec każdej, nawet polskiej czy niemieckiej nacji, stanowi przecięt w tym stanie zdecydowaną mniejszość.
2.
— Plan? — dziwi się urzędnik w biurze turystycznym.
— Albo jakiś przewodnik. Zapłacę.
— Niestety — rozkłada bezradnie ręce.
— A może macie przynajmniej taki... na własny użytek. Chciałbym znaleźć ledną ulicę.
— Nie mamy. Ale co to za ulica?
— Barbarosa Lopes.
— Nie znam.
— To co mam zrobić?
— Niech pan weźmie taksówkę.
— W żadnym razie nie wolno panu brać taksówki — powstrzymują mnie marynarze. — Tu jest kilkanaście tysięcy taksówek, albo nawet więcej, i jak trafi pan na cwaniaka, jak pana zaczęli wozić bocznymi ulicami, to wyda pan wszystkie pieniądze a Scheiblera i tak pan nie znajdzie.
Telefonuję pod numer, który poprzedniego dnia dał mi mieszkający w Sao Paulo polski inżynier, odbierający matkę z pokładu GALCZYŃSKIEGO. Nie jest to jego numer, tylko pani Tereski. (Zadzwoń pan i poprosi panią Tereskę).
— Pani Tereska?
— Tak — odpowiada jakiś pogodny polski alek.
Przedstawiam się grzecznie.
— Wiem, wiem — mówi skwapliwie kobieta. — Inżynier dzwonił. Chodzi o te ulice... zaraz...
— Barbarosa Lopes.
— Właśnie!
— I co? Pomoże mi pani?
— Kiedy takich ulic może być w

Sao Paulo dziesięć albo ani jednej.
— Ale wie pani, jak ktoś dobrze zna język i miasto...
— Pani! — Śmieje się kobieta. — Ja tu mieszkam dwadzieścia dziewięć lat i nie znam ani języka ani miasta. Poza tym, powiem panu szczerze, chętnie bym panu pomogła, ale wnuczka podłapała akurat glisty, zemdląła w szkole na lekcjach i muszę zaraz lecieć z nią do znachorki...
Przez chwilę podejrzewam, że babus robi ze mnie wała korbowego, ale jej głos zlatuje niepokojem i powagą. Zniechęcony — już chcę odłożyć słuchawkę, potem myślę: to też jest w końcu reportaż, i wyciągam z aparatu garść interesujących szczegółów.
— A znachorka poradzi?
— No, pewnie!
— Może jednak lepiej do lekarza?
— Skąd, panie, lekarze nie wierzą w glisty! Poszliśmy raz do lekarza, to wziął trzysta cruzerów, zapisał wnuczkę krople, a znachorka, panie, przedziła parę nitkę, zmówiła odpowiednią modlitwę i nazajutrz wyszły z dziecka dwie długie sztuki.
— No to, powodzenia, pani Teresko.
— Do widzenia, do widzenia. Ojej! Zaraz! Nie ma pan raphacholiny?
— Nie.
— Chętnie bym od pana kupiła...
3.
Wracam skołowany do autokaru, który obwozi nas teraz po bogatych dzielnicach centralnych — inne tu tempo życia, dużo białych, ludzie ganiają po chodnikach jak w Warszawie, zatłoczone jezdnie wydają się ugiąć pod ciężarem niezliczonej ilości wozów wszelkiej maści i kalibru — ford, chevrolety, fiaty, volks-wageny; wszystko oczywiście licencyjne.
Sao Paulo już od dawna jest największym miastem Brazylii, a także największym ośrodkiem handlowym i przemysłowym w całej Ameryce Łacińskiej. W chwili, kiedy Rio de Janeiro straciło stołeczne przywileje,

Sao Paulo umocniło swoje pozycje w kluczowych dziedzinach życia. Tu skupia się 32 procent brazylijskiego przemysłu, tu pracuje 45 procent ogółu brazylijskich robotników, tu wytwarza się 50 procent produkcji krajowej. Tu jest największa fabryka gazet i programów radiowych. Na cztery stacje telewizyjne w Rio, przypada sześć stacji w Sao Paulo. Na jeden kilometr kwadratowy przypada 4 tysiące obywateli. Podobno typowych dla Europy schorzeń zawodowych też jest tutaj najwięcej — nerwice, zawały, nowotwory... Zdaniem Brazylijczyków — wielka kariera i wielkie pieniądze można zrobić tylko w Sao Paulo i właśnie dlatego tak bardzo ciąży atmosfera tego miasta — w przeciwieństwie do Rio, Salvadoru, Belo Horizonte czy Porto Alegre ludzie są tutaj mniej serdeczni, bardziej złażani, cyniczni, bezwzględni, brutalni, licząc skrupulatnie grosz do grosza.
— Gdzie jest ulica Barbarosa Lopes?
— Nie wiem.
— A jakiś sklep, gdzie można by kupić plan miasta?
Wzruszenie ramion.
Autokar zawiózł nas do planetarium. Jest to obiekt, bez wątpienia, luksusowy, otoczony wspaniałą zielenią, sąsiadujący z szykownymi biurami, bankami, agencjami. Na pytanie, gdzie znajduje się rua Barbarosa Lopes, urzędniczka podaje mi jakiś adres w śródmieściu i jakieś nazwisko.
Kiedy patrzę na nią zdziwiony, zaczyna biedaczka cierpliwie tłumaczyć, że pod tym adresem znajduje się ktoś, kto mówi trochę po angielsku.
Nie znajduję pana Scheiblera! Mógłbym jeszcze spróbować następnego dnia, ale co będzie, jeśli statek opuści w tym czasie Santos? Pan Cichy, agent Polskich Linii Oceanicznych, zapewnił mnie serdecznie, że w drodze powrotnej po raz drugi zawiniemy do tego portu. Poczesa mnie ta myśl. I rozgryzsa. Może wówczas dopisze mi szczęście? Wieczorem siadę i napiszę do Scheiblera list; umówię się z nim za miesiąc. Aha, wystosuję również pismo do konsula; nie odmówi mi chyba pomocy...
Autokar kołuje znowu rozprężonymi słonecznymi ulicami. Mijamy dzielnicę handlową i dzielnicę bogaczy — białe, płaskie, wyłożone glazurą wille w stylu neokolonialnym, z rozległymi tarasami, z ogródkami, w których pysznia się palmy, agawy, cyprysy; z garażami, przed którymi stoją w gotowości wielkie, isniące od niklu krawężniki. Niby piękne to wszystko, ale gorzki smak kleski zabija mi radość postrzegania.
Mam irracjonalny żal do Scheiblera.
Mam także żal do tego ogromnego, poplątanego, niezrozumiałego miasta.
— Gdzie jedziemy? — pytam sąsiada.
— Do Instytutu Węży.
— I co tam jest?
— Jak to, co? — patrzy na mnie bez uśmiechu. — Różne gady, z których pobiera się jad do celów leczniczych.
— Szczepionki?
— Tak. Jest to absolutnie najstarszy tego typu Instytut na świecie.
— Był pan tu już?
— Byłem.
— Niech pan coś opowie.
— Sam pan zobaczy.
Cetkowane i gładkie, w kolorze popiołu, ceglaste, zielone, małe i duże, grube i cienkie, ale wszystkie bez wyjątku ospałe, wygrzewają się w słońcu albo drzemają w skrawkach cienia pod murami, albo, zwinięte spiralnie, okupują swoje mury, podobne ogromnym grzybom domki o czterech kwadratowych wejściach bez drzwi. Jest nas, turystów, wystarczająco dużo, aby na pianie pojawił się mistrz ceremonii — Mulat w białym, lekarskim fartuchu, dzierżący w ręku metrovy kijaszek o widlastym, metalowym zakończeniu. Wehodzi ten człowiek w rojowisko zmij, węży i żółwi, i od razu widać, że jeśli ktoś się boi, to one jego, nie on ich. Te drzemające chwytają

zrećnie na widełki i z rozmachem ciska do płytych, glazurowych, wypelionych zielonkawą wodą sadzawek a one ożywiają się z miejsca i natychmiast uciekają z kąpieli. Te pół martwe nakuwa szpikulcem do bólu — niektóre buntują się, próbując kąsać go przez spodnie, pod którymi kryją się zapewne długie, gumowe buty za kolana; tak czy owak wszystkie lądają w sadzawce; a jeśli jakieś gadzisko usiłuje się wymigać, zanurzając tylko łeb i czmyhając, Mulat znowu łapie je na widły i ponownie ciska w wodę.
Nie lubi też zabawy w chowanego; nie mogą wyciągnąć tego i owego gada przez kwadratowy otwór, zdejmował z mrowianego domku grzybiasty daszek i wyławiał spryciarzy góra, tak że po kilkunastu minutach nie było już sztuki, która nie zażyłaby przymusowej kąpieli. Dwa osobniki nakłuwane i poszturchiwane ze wszystkich stron, a nie dające przy tym znaków życia, zakwalifikował chyba jako martwe i wyniósł na widełkach z wivarium, co do żółwi natomiast, to zupełnie dał im spokój.
Po tym dramatycznym seansie, który był w zasadzie ostatnim punktem w programie naszej wycieczki, otrzymałem nieoczekiwanie nowiułteńki plan Sao Paulo od uprzejmej żony portiera. Zaczęłam przeczesać go wzrokiem — najpierw pośpiesznie i nerwowo; potem systematycznie, z góry na dół, kwadrat po kwadracie. Były momenty, że moje serce uderzało mocniej, kiedy oczy zahaczały o znajomo brzmiące nazwy, jak na przykład Rua Barbosa w kwadracie C3 lub Barbosa Rodrigues w C4. Jednakże Rua Barbarosa Lopes znaleźć mi się nie udało.
Przyznam się, że ponownie zacząłem podejrzawać pana Szymka Baumaną o uraczenie mnie fałszywym adresem. Wlura, iż Scheiblerowie mieszkają w Sao Paulo, opuściła mnie do cna. Aby jednak wyczerpać do końca repertuar możliwości, napisałem wspomniany wcześniej list do Scheiblerów na adres Rua Barbarosa Lopes i wysłałem wraz ze wspomnianym wcześniej pismem do konsula.
Od tej chwili przestałem myśleć o sprawie. Czytelnik jest zapewne tym faktem wiele oburzony — jak można drukować dwa reportaże o odinku pod zwodniczym tytułem, a w końcu przyznać się do porażki? Co ma znaczyć ta cała Makumba? Wreszcie — mieszka ten Scheibler w Sao Paulo czy nie mieszka?
Z Santosu popłynęliśmy do Porto Alegre, a potem do Argentyny, gdzie oczekiwały nas zupełnie inne emocje. Kiedy w trzy tygodnie później ponownie znaleźliśmy się w Brazylii: w niewielkim miasteczku Rio Grande na samym południu kraju — radioficer przyjął nagłe adresowany do mnie telex.
Byłem wstrząśnięty. Na różowej kartce papieru (która teraz w Łodzi, leży przede mną na stole) pisało ni mniej ni więcej (podaję zgodnie z oryginałem):
K. I. GALCZYŃSKI SOLICITAMOS CONTATAREM O PASSAGEIRO SR. ANDREJ MAKOWIEWICZ SOLICITANDO — LHE ENVIAR (?) SANTOS O LIVRO PROMETIDO AO SR. K. V. SCHEIBLER — S. PAULO — QUEIRAM AEROVIAR ENCOMENDA A NOSSOS CUIDADOS, COBRANDO DES PESAS DO REFERIDO PASSAGEIRO.
Zatem — jest gdzieś w Sao Paulo rua Barbarosa Lopes i żyje tam legendarny pan Scheibler. Wprawdzie z treści telexu nie wynika, aby chciał mnie podjąć w swym domu, ale, mój Boże, fortuna kołem się toczy — może ma brzydką żonę, albo wstydzi się swojego ubóstwa?

Zdjęcia: Elżbieta Makowiecka



FAZU ALIJEWA

MATKA

Przejrzyste poranne powietrze przejęło ciało chłodem, Szliśmy gęsto po wazutkiej ścieżce między stromą skałą a przepaścią.
— Jesteśmy na miejscu! — powiedziała wreszcie jedna z kobiet i młoda matka postawiła Eteri na ziemi; drugą połowę drogi niosła dziewczynkę na rękach.
Rozejrzała się dookoła. Nagie fałdy skał, przedzierające się między kamieniami rzadkie, spalone słońcem krzaczki. Ciemne wejście do pieczary. W górach jest wiele takich miejsc.
Schyliła się i weszła do pieczary w ślad za kobietami. Pachniało wilgocią. Gdzieś w głębi stukaly o kamienie spływające ze sklepień krople wody.

Jeszcze jeden krok i osuwałam z wrażenia. W głębi stała kamienna postać kobieca, podpierając rękami ogromny głaz. Na jej piersi migotał ogieniek. Ta szepcząca, młoda kobieta podtrzymywała, rzekłabyś, ten głaz, a właściwie nie głaz, lecz cały ten maszynowy górski z jego urwiskami i pastwiskami, z jego szczytami i lodowcami. Wydawało mi się, że gdy opuści ręce, wszystko runie, zawali się z łosem góra, rozrzucając po ziemi głazy i kamienie.
Kobiety upadły przed nią na kolana. Mesedu podniosła Eteri i położyła jej małe dionie na ogromnych rękach kobiety z kamienia.
— Niechaj nasza Eteri będzie tak samo silna i dobra — powiedziała.
— Tak samo silna i dobra jak Gulszanat — zawtórowały inne kobiety.
Potem wszystkie rozwinęły chustki i zaczęły nawzajem częstować się stoczycami. I każda kobieta, gdy dostawała lepka od miodu galankę orzechową, zanim włożyła ją do ust, zataczała nią łuk nad głową dziewczynki, mówiąc przy tym: „Niech jej życie będzie słodkie jak ta chałwa!”
Kiedy wszystkie znalazły się do syta, Mesedu rozsiała się wygodnie na kamieniu naprzeciw Gulszanat i zaczęła swą opowieść.

— To było dawno. Wtedy nie było jeszcze na świecie mojej babci, a nawet babci mojej babci. W naszym aule mieszkała wówczas dziewczyna imieniem Gulszanat. Niczym nie różniła się od swoich rówieśniczek. Była może tylko trochę ładniejsza, trochę weselsza, trochę lepsza dla ludzi.
Wszyscy w aule tak przywykli do jej uśmiechu, że gdy Gulszanat była poważna, zdawało im się, że chmura zastoniła słońce. I wtedy wszyscy pytali: „Co ci jest, Gulszanat? Czy nie zachorowałaś?”. W odpowiedzi słyszeli tylko jej śmiech. Wydawała się zawsze wystrojona, chociaż chodziła ubrana biedniej od swych przyjaciółek. Ale to nie sukienka ją zdobiła, to raczej ona zdobyła sukienkę. Dom jej rodziców zawsze rozbrzmiewał śmiechem, chociaż panowała w nim bieda. Ciężko zapracowany chinkał smakował im lepiej dzięki żartom i pieśniom. Nie mieli ani ziemi, ani bydła, mieli za to stary beben, obciążony skórą wołową. I kiedy w aule rozlegał się stuk pałeczek, wszyscy wiedzieli: gdzieś się wyprawia wesela lub obchodzi urodziny syna.
Tak rosła Gulszanat. Pewnego razu jak zwykle wybrała się z koleżankami w góry zbierać zioła. Lekki koszyk na plecach ciążył jej coraz bardziej. Im wyżej się wspięła, tym powietrze było świeższe, a zapach traw i kwiatów moczniejszy. Dziewczyna ta nie odczuwała zmęczenia, ponieważ wzniesienia pokonywała pieśnią, a zбочa — tańcami. Oczywiście najdźwięczniej śpiewała Gulszanat. Wierowała na zębatym występie skalnym, pochylała się nad urwiskiem, na którego dnie rzeka biegła bystrym nurtem, zadzierła głowę ku niebu — i śpiewała, śpiewała... A hen wysoko, na szczytach skalnych szczytach siedziały orły i ostrzyły dzioby o skały. Gulszanat śmiejąc się rzuciła w orla kamyczkiem, lecz on nawet nie podniósł głowy. A kamyczek, zatoczywszy w powietrzu krag, upadł gdzieś w górach. I znów w niczym nie zrażonej ciszy słyszeć było, jak orły biją dziobami o kamienne: tak-tak-tak, czik-czik-czik.
— Spójrzcie, co za dziwny orzeł! — zawołała jedna z dziewcząt. Przelatywał on wolno i płynnie z występu na występ skalny.
— Waj, przecież to człowiek! — zdziwiała się druga. — W jaki sposób wdrapała się tak wysoko?
— Hej, hej, kim jesteś? — zawołała Gulszanat ku niebu.
Na głos natrętnego echa człowiek-oceł spojrział w dół. Przeskakując z występu na występ zszedł z zбочa i zatrzymał się naprzeciw Gulszanat.

— A my myślałyśmy, że jesteście orłem! — rzekła Gulszanat z wyraźnym rozczarowaniem.
— A bo to nie jestem orłem? — zapytał figlarne młodzieniec.
— Przecież nie masz skrzydeł...
— I dziubo — zachichotała przyjaciółka Gulszanat.
Gulszanat przechyliła głowę do tyłu, zastoniła oczy dionią przed silnymi promieniami słońca, padającymi prosto na twarz, i przyglądała się chłopakowi. Był bez koszuli. Błyszczały w słońcu muskularne ramiona prawie czarne od opalenizny. Bose nogi rozstawił tak mocno i szeroko, jakby były przyrosnięte do skały.
— Powiadasz, że nie mam skrzydeł? Za to mam dwie ręce mocniejsze od skrzydeł. — Spojrzał na swe dionie, w których miotał pusty worek. Ręce miał grube, podrapane, koloru ziemi. — Orzeł ma skrzydła potężne, ale czyż może on wyhodować pszenicę na gołych skałach? — I skinął głową w stronę zielonych jeszcze kłosów.
— Orzeł nie potrzebuje pszenicy — rzekła Gulszanat — żywi się surowym mięsem.
— Dlatego, że boi się ognia. Zaś człowiek niczego się nie boi. Nie ma dla niego rzeczy niemożliwych. Jeśli zechce — góry z posad ruszy.
— Widać, że jesteś chwalipięta — zauważyła jedna z dziewcząt. — A no, rusz tę górę.
— Po co? Jeszcze mi się przyda. Przecież hoduję na niej pszenicę — odpowiedział spokojnie.
— Po co mamy słuchać jego przechwałek? Gdyby je zamienić w deszcz, można by nimi polać całą ziemię. — I dziewczęta uciekły z chichotem. Położyły na polance swe skromne jedzenie i z apetytem zabrały się do śniadania. Gulszanat śmiała się razem z innymi, ale jej oczy co rusz zerkały na bok, gdzie w dali, posród nagich skał, kopał ziemię ten dziwny człowiek, który z tej odległości wydał się jej znacznie mniejszy. Oto wparł się w łopate, zbiera ziemię do worka i zarzucał na nią z głową w górę. Gulszanat zobaczyła, jak zatrzymał się tam wysoko, zrzucił worek z pleców i zaczął wysypywać z niego ziemię. I nagle poczuła się tak lekka, tak wesoła jak jeszcze nigdy w życiu. Miała ochotę gdzieś bieć, śpiewać i krzyczeć z szczęścia.
Najazajtr znowu tu przyszła, tym razem sama, bez przyjaciółek. Ścisnęła się jej serce, gdy zobaczyła ten skrawek czarnej ziemi, który młodzieniec przygotował na przyszły rok. Ale chłopaka nie było. „A nuż dzisiaj nie przyjdzie?” — pomyślała Gulszanat ze strachem. Nagle go zobaczyła. Przykucnął, wybrał kamienie i odrzucił je daleko w bok. Spokali się, Gulszanat została jego żoną. Od tej pory każdego dnia kobieta i

chłopak szli razem w góry. Ahmed robił poletki na skałach, Gulszanat wybierała kamienie. Ona kopała ziemię, on odnosił ją na poletko. Wiosna stukaly tu zgodnie kilofy orla i orlicy. Tak nazywano ich w aule. Latem cztery zwinne ręce oczyszczały pędy z chwastów. A na początku jesieni dojrzałe kłosa schylały się do ich nóg, jakby dziękując za trudy i starania.
Zaś zimą, gdy góry i niziny przywdziały białą burkę, a na polach hulał wiatr, w ciasnej sakli na skraju aulu, przy słabym świetle ogniska domowego Gulszanat urodziła mu syna Hadzymurata i córeczkę Szumajsat.
Mijał czas. Z gór spływały wartkie potoki, kwiaty rozkwitały i opadały, żółta trawa. I oto pewnego pięknego jesiennego dnia przyszedł na świat ich czworo.
Położywszy dzieci w pieczarze Gulszanat zeszła na dół i zaczęła pomagać mężowi zbierać pszenicę. Od czasu do czasu wspinała się na górę, aby spojrzeć na dzieci. Spały one w sianie niby orleta w gnieździe, przytulone do siebie, jak śpią szczeniaki i kocięta, Jagnięta i pisklęta — jednym słowem, wszystkie maluchy na świecie. Chylące się ku zachodowi słońca łagodnie złościły ich główki. Zdawało się, że i ono ma zamiar zasnąć tutaj u ich wezwłowa. Była to wyjątkowa chwila, gdy zarówno w przodzie, jak i w duszy człowieka panuje spokój. Gulszanat pochylała się nad dziećmi, odgarnęła kosmyk włosów z czoła córeczki.

I nagle podmuch wiatru zerwał i porwał koc, którym były przykryte dzieci. Jeszcze jeden podmuch wiatru i źdźbła suchej trawy zawirowały w powietrzu. Rozległ się głuchy podziemny wstrząs. Ten huk przeszył jak prąd ciało matki. Góra drgnęła, jakby miała zamiar ruszyć z miejsca. I zaraz posypały się z niej dudniące kamienie. Gulszanat krzyknęła i przykryła sobą dzieci. Tak orlica rozpostarła skrzydła krzyczy wobec zbliżającego się niebezpieczeństwa. Gdy z przerazaniem podniosła oczy, zobaczyła nad głową szczelinę. Jeśli ten potężny głaz runie, zmiążdży dzieci i zniszczy do przepaści męża, który tam w dół sprząta pszenicę. Wtedy Gulszanat wstała i wparła się rękami w kamienny głaz, powstrzymując jego potężny napór. Poczuła w sobie bezgraniczną siłę. Jej serce wyrwało się z piersi i zaczęło bić na wietrze, jak pulsujący płomień. Mocna jak kamień stała się jej wola. I Gulszanat skamieniała.
Tymczasem Ahmed poczuł podziemne wstrząsy, chociaż tam w dół były one słabsze i pobiegł do pieczary, do dzieci i żony. Jeszcze z daleka usłyszał rozpaczliwy płacz dziecka. Jedynym skokiem był w pieczarze. Coś stało się. Jego dzieci żyły. Siedziały

go nagle w kark. Padł na łód i już się więcej nie podniósł.
Chłopak był mocny. Ranę mu jakoś opatrzone,trzymał się na nogach. Ale Niemiec już nie wstał, był martwy. Obracano go, potarano nim... tylko drewniana noga bila o łód.
— Bydła! — odezwała się wdowa po Tönisie. — Za co cię uderzył? — zapytała syna. Ale ani chłopiec, ani inni nie wiedzieli, dlaczego Niemiec tak się uniosł. Patrzyli po sobie. Zacznie się śledztwo — co mówić?
— A co to wyhadaja czy wyptaaja? — znalazł wreszcie wyjście któryś z Lautrików. — Koń szarpnął i poniósł, chłopak upadł. Niemiec zaczął się drewnianą nogą o dyszel, koń wpadł w rozlewisko i ba...
Jögelowie i Lautrikowicze wszyscy naraz i jednakoowo zatkoskali popatrzyli na jedynego konia, jakiego mieli na Viireleid. Stara szkapa, która jeździła na półow pod lodem i zwozili na pole wodorosty, nie mogaby już ponieść. I czego się tu mogła przestraszyć!
Omawiali sprawę na różne sposoby, ale nie lepszego nie przychodziło im do głowy.
— Może powiemy, że wpadł do przerebi — podsunął jeden z Jógelów.
— A po co by miał podchodzić do przerebi? — mrknął ktoś w odpowiedzi. — I dlaczego go nie ratowali? I kto zranił chłopaka?
Trzeba było wrócić do pierwszej wersji, mimo że nie była najlepsza.
Stary Laas milczał, nie wyrzekł ani słowa. Trupa wraz z karabinem wrzucono do dużego przerebi, przez którą ciągnięto niewód, konia i sanie obiano woda, jakby rzeczywiście dopiero co wyciągnięto je z rozlewiska. Rannego chłopaka wsadzono do sań i wszyscy ruszyli z powrotem na wyspę.
Czuł, że szykuje się coś złego. Jögelowie i Lautrikowicze szli razem w milczeniu. Nikt nie patrzył na Laasa, wszystkich zespolilo teraz nowe ciężkie zamartwienie.
Na wyspę przyjechał pan Vihvelin z jakimś ważnym Niemcem. Ryb nie przywieziono, pan Vihvelin był w złym humorze i nie wierzył ani trochę w całą tę historię z rozlewiskiem. A podoficer wcale nie był pewien, że następnego dnia jego nie-

spotka taki sam los. Pan Vihvelin przypomniał mu, że chłopak z raną na twarzy jest synem tego komunisty, którego powieszono jesienią. Matce i synowi kazano stawić się w domu zajmowanym przez Niemców.
Niebawem ludzie zobaczyli, że stary Laas szybkim krokiem skierował się do mieszkania Niemców. Więść ta biegła z domu do domu i gdzielkowiek trafiała, ludziom od razu robiło się jakby duszno, jakby im ktoś następował na gardło. Kobiety z rodziny Lautrików wydane za Jógelów, czy to matki, czy babki, stały z opuszczonymi głowami, ciężko im było podnieść wzrok. Po śmierci Lindy łód, który otaczał starego Laasa, powoli zaczął tajać. Ale teraz nikt nie ośmielił się nawet wysnuć strasznego domysłu. Żeby stary Laas okazał się donosicielem i wydał swoich ludzi Niemcom... aż strach było obawiać się tego.
Wtem wdowa i syn Tönisa Jögela wyszli z mieszkania Niemców i skierowali się do domu.
— Wziął winę na siebie — powiedziała wdowa. Jej donosny, niemal męski głos brzmiał ciszej niż zwykle.
Ludzie znowu spojrzeli po sobie. Spojrzeli i ciężace im brzemie, ich wspólna hańba zwaliła im się z ramion.
W tym czasie, kiedy Laasa Lautrikivi powieszono, ruszyli łody.
Co prawda morze oczyściło się od lodu później, ale hańba, co spadła na Viireleida i uwolnienie się od niej były tak nieodłączne od starego Laasa, że ludzie ze wzrastającym przekonaniem mówili: było to wtedy, kiedy powieszono Laasa Lautrikivi, akurat gdy łody ruszyły. A w rzeczywistości łody ruszyły później, kiedy stary Lautrikivi, który wisiał na szubienicy dziesięć dni, został już pochowany.

AADU HINT

KIEDY LODY RUSZYŁY...

Stary Laas Lautrikivi przebiegał drągiem przerebi, żeby wyciągnąć matnię niewodu. Za każdym razem, kiedy drag przebiegał łód, zdawało się staremu, że ostry koniec draga zaczepla o włosy Lindy, i szybko go wyrwywał. Głupstwo, dlaczego Linda miałaby się znaleźć akurat właśnie koło tej przerebi, jeżeli jest nawet gdzieś tutaj pod lodem? Ale mimo to zwlekał z nowym uderzeniem.
— Predzej, predzej! — pokrzykiwał siedzący na saniach hitlerowicz z drewniana noga. Przynagłał ludzi, żeby predzej skończyli półow, bo wtedy będzie mógł stać odejść. Dziwna rzecz — nogi nie ma już od kilku miesięcy, samo tylko drzewo i guma, ale palec marznął mi i bola bardziej niż palec drugiej nogi. Było niezbyt zimno, zanosiło się raczej na odwilż, ale od morza wiał wilgotny, przelaminujący wiatr od którego łamało w kościach; pewnie dlatego tak go bolał ten drewniany kłosek z kawalkiem gumy.
— Czego ten stary się tam grzebie? Predzej, predzej! — krzyczał hitlerowicz otulając się kożuchem. Jeszcze dobrze, że udało mu się wytrzasnąć ten kożuszek. Z drugim już się nie udało, a chciał go postać do domu, żenie. Oddział, który stacjonował tu jesienią, a teraz został już skierowany na front, zdążył niemal wszystko tu sobie „organizować”. Ba, pewnie, że zimno tam żołnierzom w cieniach płaszczach wojskowych, można ducha wyznać. I żeby tylko mróz!... On, co prawda, stracił nogę, ale jeżeli dowództwo pozostawi go nadal w takim cichym zakatku jak ta zapadła wysepka, to uda mu się chyba przeżyć nawet te wojnę, rozmyślał Niemiec.
Był na Viireleid nowym człowiekiem. Nie pytał ani siebie, ani in-

nych, dlaczego znalezi się tutaj jak u Pana Boga za piecem. Jest żołnierzem, wykonuje rozkaz i cieszy się, że czuje się tu bezpieczny. Jego dowódcą jest podoficer z Żelaznym Krzyżem i sztucznym okłem. Ordynansa podoficer nie ma. Dawny komendant Viireleid okazał się niebezpieczny w Niemczech od jakiejś papierkowej pracy. Był to wielki człowiek, syn fabrykanta. Innych, w tej liczbie także ordynansa lejtanta Griesenaua, skierowano na komisję. Lekarze orzekli, że zdrowie tych ludzi uległo poprawie, więc posłano ich na wojnę z Rosjanami.
W końcu wszystkie przerebie zostały przebite, od jednej do drugiej przeciągnięto pod lodem sznur i ludzie zaczęli ciągnąć niewód.
Kiedy matnia wylonila się z wody, Niemiec pokuścił się do rybaków? A ryby? Co to znaczy? Ryb prawie nie było prócz kilku małych, co zaczęły się skrzelać o oka sieci.
„Nie bardzo im ufajcie!” — przypomniała mu się rada Vihvelina, Estończyka, który dbał o interesy Niemców. Wiąc kiedy niewód ostatecznie wyciągnięto z wody, Niemiec postukując swoją drewnianą nogą i opierając się na lasce podszedł bliżej. „Co to ma znaczyć?” — pomyślał i spojrzął na zegarek. Piętnastu ludzi pracowało sześć godzin i w rezultacie — zaledwie kilka rybek! I tak bywa zawsze, ilekroć podczas polowu obecny jest ktoś z nich, z Niemców... Bo kiedy rybacy łowia sami, niekiedy jeden półow pokrywa niemal całą normę skupu.
Wziął w rękę mokrą, zimną sieć. Jak to się dzieje — zastanawiał się. Niewód ciągnie się pod lodem i ryby powinny trafić tu, do tego worka. O! A co to? Koniec matni był, co prawda, zawiązany, ale obok wi-

Przełożyła:
GRAZYNA STRUMILLO-MIŁOSZ

Poetka ludowa Dagestanu Fazu Alijewa drukuje w periodykach utworzy prozatorskie i poetyckie, wydała zbiory wierszy *Błękitna droga*, *Wiosenny wiatr*, *Snycerstwo na kamieniu*, *Rozdaję tęczę*, *Małe ogniki*, *Prawo gór*, poematy — *Matka*, *Nad morzem*, *Zoja*, *Lenin w każdym sercu*, *Zwycię legendy*. Duży tom jej prozy *Zródła z gór tryskające* ukazał się w 1972 roku w serii „Biblioteka mieszczyńska „Druzba Narodów” nakładem wydawnictwa „Dietkaja Literatura” wyszedł zbiór poematów Alijowej, a w języku ojczystym pisarki — awarskim ukazało się kilkanaście książek.
Koleje losu samej Fazu Alijowej, która urodziła się (1932 r.) i wychowała w jednym z aulów Dagestanu, odzwierciedlają życie współczesnej góralki, której władza radziecka pomogła wyzwolić się od wielu przesądów przesiłki, otrzymała wyższe wykształcenie, zdobyła samodzielność.
Fazu Alijewa ukończyła Instytut Literacki im. Gorkiego w Moskwie. Wkrótce potem jej poezja, nacechowana zarówno swoistością narodową, jak też głębokim internacjonalizmem, zyskała uznanie czytelników.
Fazu Alijewa w swojej prozie, w poezji i w książkach dla dzieci zawsze pozostaje sobą — autorką słów miłych i silnych.
Bohaterami jej powieści i nowel są współczesne góralki. Dawne górale uważali narodziny dziewczynki za nieszczęście... Obecnie kobieta-góralka jest dumą Dagestanu. Bierze ona czynny udział we wszystkim, co odbywa się w jej stronach rodzinnych, w całym kraju i w świecie.
Opowiadanie, które zamieszczaamy pochodzi ze zbioru nowel Fazu Alijewa opowiada w nich o życiu i losach wielu swoich rodaków.

Przełożyła:
MARIA JASTRZĘBIEC

Aadu Hint urodził się w 1910 roku. Jest pisarzem ludowym Estonii, dwukrotnym laureatem Nagrody Republikańskiej. Pierwsze jego utwory ukazały się w latach trzydziestych. Jest autorem powieści: *LEPROZORIUM W VATKU*, *ZŁOTA BRAMA*, *PALACZ*, *tetralogii WYRZEZE WIATROW*; sztuki *DOKAD IDZIESZ*, *TOWARZYSZY DYREKTORZE*

Dni Literatury Radzieckiej są jednym z ważniejszych wydarzeń w kalendarzu Obchodów 60-lecia Rewolucji Październikowej w Polsce. Liczne spotkania pisarzy radzieckich z czytelnikami, załogami zakładów pracy, młodzieżą, środowiskami twórczymi — z ogromną rzeszą miłośników klasyki i współczesnej literatury Kraju Rad — będą okazją do pełniejszego poznania wielkiego dorobku literatury ZSRR.

„Dni” trwać będą od 24 do 29 października. Polskę odwiedzi w tym czasie czterdziestu pisarzy ze wszystkich republik ZSRR, a dziesięciu z nich będziemy gościć w Łodzi. Ich twórczość poetycką i prozatorską prezentujemy w niniejszym numerze „Odgłosów” w wyborze znanego tłumacza IGORA SIKIRYCKIEGO.

SIANOKOSY

Zorza promieniem miodno-rdzawym
Na zboczach góry się uklada.
Nie sposób z dala bujnej trawy
Ani ocenić, ani zbadać.

Lecz widać, że w głębokiej trawie
Po pas w odbłaskach rannej zorzy
Kosiarze kroczą jak żurawie,
By pokos w równych rzędach złożyć.

I aby w przepaść się nie stoczyć,
Idą do skały przywiązani.
We mgłę zielonej trudno oczom
Dojrzeć szczelinę albo kamień.

I znów strofa košby dźwięczy,
W zwrotki uklada się ó świecie,
W poprzek zielonych kart przelęczy,
Jak gigantyczny wiersz w zeszyte

Gdy kosa trafi wśród polonin
Na kamień, jak to w życiu bywa,
Nieposkromiony błyska płomień
I w mig horyzont z ziemią zszywa.

Przełożył: Igor Sikirycki



Jak wiersz z starego rękopisu,
Splot zmarszczek skałę rysujący!
Jacy prorocy to skreśliłi
Na czole mrocznym i milczącym?

Po zmarszczkach tych jak po stronicach
Dla niewidomych palcem wodzę,
I śnię, iż znów w jastrzębim niebie
Burze, że i świeci są w trwodze.

Kiedy przestwór igra grzmotami
Nad drużyną z łupków omszałą,
Jak wydobyta z pochwy szabla
Błyskawica przemknie nad skałą.

Czasu to liczby, losów znaki,
Czy uwieczniona czyjaś chwała?
Treść magicznego tego pisma
I mnie odczytać się nie dała...

Przełożył: Jan Huszcza

Alim Kieszokow (ur. w 1914 r.) należy do pokolenia pisarzy kabardyjskich, które wyrosło i ukształtowało się w okresie władzy radzieckiej. Nie potrzebował już wymyślać znaków graficznych, aby zapisać własne wiersze, jak to musiał robić na początku naszego stulecia w niepiśmiennej Kabardzie pieśniarz ludowy Bekmurza Paczew. Kształtowanie się osobowości pisarskiej Alima Kieszokowa mierzy się nie tylko dystansem między pierwszą w dziejach aulu szkołę podstawową, mieszczącą się w dawnej stajni, a aspiranturą w Akademii Nauk Społecznych, ale również codziennym poznawaniem życia w pracy i walce od wielkiego pola i pastwiska do niełatwych stanowisk kierowniczych ministra oświaty, sekretarza Obwodowego Komitetu Partii i zastępcy przewodniczącego Rady Ministrów Kabardyjsko-Balkarskiej ASRR, które piastował w latach ostatnich. Pierwszy wiersz Alima Kieszokowa ukazał się w 1931 roku, kiedy poeta skończył zaledwie siedemnaście lat, a pierwszy zbiór poezji „U podnóża gór” wydano na samym początku wojny; autor zabrał z sobą na front dwa egzemplarze tej książeczki. Twórczość Alima Kieszokowa odegrała dużą rolę w rozwoju poezji kabardyjskiej. Siła poety tkwi nie tyle w przedmiocie obrazowania, ile w jego refleksjach nad tym, co zobaczył. W ostatnich czasach pojawiły się wiersze Kieszokowa, które świadczą o stałe rozszerzającym się poetyckim horyzoncie ich autora. O czymkolwiek Kieszokow pisze, cała jego poezja — zarówno jego afirmujące, jak i demaskatorskie utwory — przepojone są miłością do człowieka.

KAJSYN KULIJEW

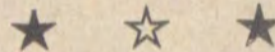


Gdzieś tam jęczy kobieta w oddali,
Spiewa do snu dziecku kołysankę.
Wieczny strach i wszystkie ziemi żale
Przenikają smutną kołysankę.

Pierwsza kula w jakiegokolwiek wojnie
Serce matki przebija żałośnie.
I ktokolwiek krwią się zboczy hojnie,
Serce matki krzuję to boleśnie.

1960

Przełożył: Kazimierz Andrzej Jaworski



Co dzień droga trudniejsza na świecie
I ścigając cele nieodgadłe
Byłem nieraz ogniem, byłem mieczem,
Byłem młotem, byłem i kowadłem.

Byłem zwierzem, co przez las się skrada,
Byłem strzelcem. I kim-em ja nie był.
Byłem ptakiem w klatce i sam ptaka
Wypuszczałem często z klatki w niebo.

Im jest dziksz kraj, im większy ciężar,
Tym się bardziej szlak przez ziemię gmatwa,
Tylko ślepiec w myślach wszystko zwęza,
Dla widzających — sądzi — wszystko łatwe.

1960

Przełożył: Kazimierz Andrzej Jaworski

STROFY NAPISANE W DRODZE PRZEZ POLSKĘ

Kraj ojców mych — małeńkie ziemi znamię,
Ze wszystkich stron gór pierścień go otoczył,
Mój biedny kraj, bogaty tylko w kamień,
Nad wszystko droższy, tu otwarłem oczy.

W kraju, gdzie tyle pośród traw kamieni,
Górale trud i dobro cenią przecież.
Zenili się, grzebali zmarłych w ziemi
Podobnie wszystkim ludziom na tym świecie.

Mijały lata, podrasłały dzieci,
Domy wzniesiliśmy, pasaliśmy trzody,
Pewni swojego — iż na wielkim świecie
Są także wielkie, choć małe narody.

Był mrok i światło, były dni i noce,
I nasze żony starały się, żeby,
Jak inne żony, jak kobiety obce,
Utulić dzieci i upiec nam chleby.

Jak wszędzie piękne, spojrzenie góralek
Budziło czułość mężów, płomień czysty.
Jak inni z pługiem szli, nie mniej wytrwale,
Żeby zaozać stoki gór ojczystych.

Balkarzy niczym przecież się nie różnią
Od innych szczepów, co się w ludzkość wiążą.
Największe drzewo wysila się próżno,
Nie może istnieć bez małych gałązek.

A tyle razy, z zadumą i troską
Myślałem o tym, choć silniej i głębiej,
Gdy się spotkałem z odrodzoną Polską
I jeszcze myślę, gdy wracam do siebie.

Polsko, wróg, który z wojną na Twą ziemię
Zabijając przyszedł, wysadzać w powietrze,
Wróg ten, co chciał Cię, Polsko, zrównać z ziemią,
Chciał także nas z powierzchni ziemi zetrzeć.

Bo ogień wszystko tak samo spopieli
Na całej ziemi. Słone są lzy matek
W kraju Polaków i na mojej ziemi,
Gdy muszą posyłać synów na zatrąte.

Bo w każdym kraju z takim samym gniewem
Jest przyjmowana obca, wroga armia,
Wszędzie czerwona jest krew i zasiewy
Pożar niszczący tak samo ogarnia.

Przełożył: Konrad Frejdlieh

Kajsyn Kulijew, urodzony w 1917 roku w aule Górny Czegem, jest najbardziej współczesnym poetą balkarskim. Debiutował w roku 1932, a w roku 1939 ukończył moskiewski GITIS — wyższą szkołę teatralną. Uczestniczył w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej. Był komandosem w desantowych jednostkach spadochronowych. Opublikował około dziesięciu tomów wierszy, między innymi „Od serca do serca”, „Rosyjskie wieczory”, „Oczekiwanie”, „Wieczny ogień”, „Ojciec” oraz poematy „Republika — Młodość” i „Magnitogorska ballada”. Za tom pt. „Zraniony kamień”, Kulijew otrzymał w roku 1966 nagrodę państwową. Jest on także deputowanym do Rady Najwyższej ZSRR.

ROSTISŁAW BRATUŃ

DWA

OKRZYKI MOJEJ ULICY

Wychodzę na ulicę.
Ulica
Zachlystuje się topolowym krzykiem.
Ulica
Walczy z chmurami
Z tymi, co słońce jej zabrały,
I topole zalały wilgotnym smutkiem,
A topole obnażają wątłe piersi,
Są jak chude histeryczki,
Wyplakują swój krzyk
Ostatkiem liści.
Jesień.
Moja ulica.

2.
Wychodzę na ulicę.
Ulica
Pełna topolowej radości.
Zielone wykrzykniki — topole —
Ujmują w ramkę hasła szczęśliwe.
Krzyczy ulica,
Lecz oczu
Nie kryjcie za zielonymi okularami,
Nie usłyszycie zielonego szumu;
Zielone okulary
Odcinają od słońca,
Od topolowego krzyku.

Wiosna
Moja ulica.

Przełożył: Marek Wawrzkievicz

JAROSŁAWNA

Znowu pieśń się przypomniała dawna.
Noc i ciemność
Deszcz jesienny, smutny.
Z mdłą latarką stoi Jarosławna
W spływającej, falującej sukni.

Druha swego — by wrócił z pochodu —
Oczekuje. Na głos czeka w ciszy...
A on ścieżki nie znajdzie, ni brodu,
Nie przypadnie do kolan najmiłszych.

Ile przeszło już lat... Nie wiadomo...
W briańskich lasach, albo w stepach miłych...
Może pójść, tam, daleko od domu,
Spytać kogoś... Trawy grób zakryły.

Wciąż na murach stoisz, Jarosławno,
Płomień trwożny ręce twoje parzy
Nie, to wszystko było tak niedawno,
Wszak lzy jeszcze nie wyschły na twarzy...

I nie gasisz ognia w niepogodę,
By ku ogniu, co zawsze się świeci,
Mógł druh miły powrócić z pochodu,
By nie błądził po szerokim świecie.

Płonie ogień i grozi przekleństwem
Tym, co niosą tu pożar i wrzawę...
Tym, co tutaj chcą przynieść nieszczęście,
I stratawać na stepie twym trawy!

Na tych murach już czuwa od dawna.
W czarnej sukni, ciągle myśli o nim...
Niby wieczność stoi Jarosławna,
A w jej dłoniach — lśni miecz obnażony.

Przełożył: Marek Wawrzkievicz

Rostisław Bratuń — poeta ze Lwowa, prezes lwowskiego oddziału Związku Pisarzy Ukrainy.



LITERATURA RADZIECKA

SERGIUSZ OSTROWOJ

KONCERT SZOPENOWSKI

Młodych kasztanów zielenienna.
Miasto znów serce ci odmyka.
Słyszysz? Warszawa gra Szopena,
Szopena gra — i płacze z cicha.
Ona pamięta wciąż, Warszawa,
„A powiedz, ty byś nie pamiętał?”
Jak przez Warszawę przemoc krwawa
Szła, równo z ziemi kosząc piętra.
Ulice zdarte przez żelastwo.
Ziemia kolebie się w posadach —
Lecz trwa i trwa w oporze Miasto,
Pardonu nie chce — i nie pada.
W kościołach płoną feretrony,
Krokwie jak ręce przez pogorzeli...
I płacze kamień zniewolony,
O który tam ci ostrą nożę.
Z popiołów, z dymu, z kosań w męce,
Z nocy pogardy, z nocy hardy —
Siegają, wciąż sięgają ręce
Po wilka żelaznego gardziel.
Zbir chełpi się, pijany mordem,
Bies sabatowej orgii krwawej...
O, Miasto! Jakież Ty ogromne!
Jak unieść wierszem Twoją chwałę!
Czarny kir daty tej pamiętam...
Lecz pokarawszy wrogów, Wisła —
Wolnego ludu rzeka święta,
Znów wizerunkiem Twym rozbił się.
Głaz odtrąciło, wstało z martwych
I zmywszy szybko skrępek po ranie,
Znów się o tęczę Wisły wsparło,
Piękniejsze niżli przed Powstaniem.
O, Miasto! O, wieczysta scena
Niezwyczajnych i zwyczajnych zwycięstw! —
Słyszysz? Warszawa gra Szopena,
A dzieje

klaszcza Jej
w zachwycie.

Przełożył: Tadeusz Chróścielewski

AHASWER

Wolam cię, Krzyżecz bez wytchnienia.
Barierę przelamuję dźwięku...
I znów odchodzisz po promieniu
Nocy na wieczny szlak udręki.
Gdzie ciebie szukać, Ahaswerze?
O czyżby próg twój posoch tułczy?
Na iluzi wieków stramą wieżę
Wspiął się wśród nieszczęśliwych włóczek?
Wciąż spieszysz się. I spieszysz. Spieszysz.
Staż się już. Wszak najwyższa pora.
Krew ci przecieka przez podeszwy,
Skóra jak czarna z butwy kora.
Toż cierpieć weale nie potrzeba.
Zawitaj w sady me zielone.
Naczerpię wody, skroję chleba
I córkę oddam ci za żonę.
Siądź u ogniska domowego,
A twą tułaczka laskę połam.
Mysmy też roku przedwiecznego —
Jedno nam klejmo pall czola.
Wolam cię, Krzyżecz bez wytchnienia.
Przez ciemność ziemi i przez błękit.
Lecz znów odchodzisz po promieniu
Nocy na wieczny szlak udręki.

Przełożył: Tadeusz Chróścielewski

Sergiusz Ostrowojoj urodził się w 1911 roku w Nowosybirsku. Poeta i prozaik. Brał udział w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej. Wydał między innymi: „Urodziłem się w Rosji” 1954, „Kocham” 1962, „Dzisiaj myślałem o was” 1954, „Sto nowych wierszy” 1957 oraz zbiór opowiadań pt. „Zielona mata” rok 1975. Ostrowojo jest także autorem poematu „Matka” rok 1983 i szeregu tekstów piosenki, niezwykłe popularnych w Związku Radzieckim.

ANATOL KUDRAWIEC MARUTA I ZINA

Późny zimowy wieczór. Za ciemnymi szybami, pokrytymi zaciekami lodu, stychać głuchy szum i szelest... Zda się, że ktoś synpnie w okno piaskiem, chwilę odzeka i znów synpnie... Potem coś się przewala, jakby ktoś sapiał i ciężko wzdychając, próbował bezskutecznie zdźwignąć się na nogi...
To śnieg zbratany z wietrzyskiem daje znać, że na dworze zimno i niewesoło...
W izbie wisi gęsty, ciepły zaduch. Ostro bije w nos zapach krwi i zwierzęcych wnętrzności. Przed chwilą przestało się palić w piecu i teraz węgiel wygasa, obrastając siwym popiołem i strzelając iskierkami. Nad stołem świeci żarówka jasnym, oślepiającym blaskiem.
Maruta zabiła dziś wieprza i wszystko w izbie zawałone, porzucane rabanki. Szeroka lawa, która zazwyczaj stoi przy progu, przesunięta teraz na środek i pokryta słoniną, miesem, postękanymi kośćmi.
Na stole, na gołych deskach, leża szynki, nogi i świński łeb z nastawionymi płatami czarnych uszu.
Nawet okno nie jest puste: na parapieci stoi garnek z krwią. Przy kominiarce pieca suszy się przywiązany nadmuchany pecherz...
Maruta zdążyła jeszcze do wiatru wnieść z podwórka do chaty świniaka i rozebrać go. Prawda, pomagał sąsiad, jednonogi Leon, niech mu tam Pan Bóg wynagrodzi! Sasiał wieprzka osmalili i rozebrali pokrajał, i porabiał kości. Uporzadkował to wszystko — posolił, ułożył w kuble — to już robota dla Maruty.
Pomalutka rozberzesz to, śpieszyć się nie ma co — powiedział wypitwisi i zakasawszy jak należy, i pożegnał się.

Niemal wszystko zdążyła już zrobić. Dobrze, że teraz Zina przybiegła pomóc mięso krajać.
Maruta w niebieskiej, barczanowej bluzce z szerokimi, zakasnymi po łokcie rękawami, rozsiała się przy piecu na starym, niziutkim taborecie. Szeroko go mesku rozstawia nogi w bluszczących gumowych butach i jakby śmiechając się do czegoś suchymi wargami, skrobie kieszki. Coś świątecznego, świetliście radosnego bije z jej potężnej, pewnie siebie postaci, z jej niespiesznych, oszczędnych w ruchach rąk, zatłuszczonych i umazanych śluzem kieszkowym.
Zina siedzi na drugim końcu ławy. Jest to pełnawa, pracowita, osiemnastoletnia dziewczyna. Żółte, koloru dojrzalego owśa włosy zapieczone w warkocz, jasne brwi, uniesione ku górze i cała wydaje się jakaś miękka, dobra, jak niedopieczony wielkonożny pieacek. Prostym, powolnym ruchem, nie patrząc nawet, gdzie sięga ręka, bierze ciepłe kawalki mięsa z dużej niebieskiej miski, stojącej na ławie między nią i Marutą, rzuca je na denko i sztybelutko kraje. „Ciach-ciach-ciach, ciach-ciach-ciach!” — lekko z trzaskiem uderza jej szybki, ostry noż.
Zajęte pracą kobiety milczą. Stychać tylko postukiwanie noży i szum wiatru za oknami.
Ale oto Zina jakby napotyka na widoczną przeszkodę, przerywa krajanie i wpatruje się w otwarte drzwi ciekawym, gdzie przy samym brzegu, w białym popiele, bliższy czerwonomalnowy węgielek. Zina jak czarowana wpatruje się okrągłymi oczkami w ten węgielek, ale po jej spokojnej, nieruchomej twarzy widać, że nie widzi go, że po prostu tylko o czymś się

SERGIUSZ MICHAŁKOW

DZIECIĘCY BUCIK

Wciągnięty do rejestru
Z pedanterią istic niemiecką,
Leżał w składzie butów dorosłych
I ten bucik, noszony przez dziecko.

Dano mu w księdze numer:
„Trzytyśięcny dwusetny dziewięty,
But z prawej nogi. Używany.
Dziecięcy. Z łata trójkątną.”

Któż go zrobił? Jak trafił?
Z Melitopolu? Z Krakowa? Z Wiednia?
Czy nosił go Polak, Władek,
Czy rosyjska dziewczyna, Żenia?

Jak się dostał do tego rejestru,
Gdzie nikt o nim więcej nic nie wie:
Tylko porządkowy numer
„Trzy tysiące dwieście dziewięć.”

Czyżby na całym świecie
Nie było już innej drogi,
Prócz tej, którą przysyły
Drobne, dziecięce nogi.

Do tego straszego miejsca,
Gdzie wisielcy, swąd trupi, tortury,
Gdzie z zimną krwią podliczano
Odzież zwaloną na górę.

Tu modlili się o ratunek
W swojej ojczystej mowie
Czeši, Grecy i Żydzi,
Francuzi, Austriacy, Belgowie.

Jeszcze jeden wśród setek dowodów —
Mały bucik o łacie trójkątnej,
Który Hitler zdjął z swojej ofiary
„Trzytyśięcnej dwusetnej dziewiętej”

Przełożył: Konrad Frejdluch

MAPA

Nad miastem dwa dni było ciemno —
Dudniły bomby i wystrzały.
Została w szkole mapa ścienna,
O której dzieci zapominały.

Wlatywał do niej wiatr z podwórza
Oświecłał krwawy blask pożarów,
Przestrzenie mórz i płaskowzgorza,
Szczyty Kaukazu i Uralu.

Na trzeci dzień z samego rana,
Po szkolnych schodach ciężko krocząc,
Wszedł żołnierz, w pustej klasie stanął
I jakby coś przypominając,
Ku mapie wznosił zmęczone oczy.

które można na słodkie słówka
wziąć — jakby budząc się, podno-
sił głowę Maruta.
— I znowu... Przed weselem
jakby miodem smarował... Ty ta-
ka, ty owaka... Na rekach by
nosił... A po weselu... na który
to... na trzeci dzień było... Sie-
dzimy w siankach wieczorem...
Mama, tato, on. Ja z mamą obie-
ram ziemniaki. Chodźmy, po-
wiada, spać, bo to jutro wcześ-
niej trzeba wstawać. Prawda,
on musiał rano jechać do powia-
tu. Powiedział i poszedł do dru-
giej chaty. My tam spaliliśmy na
piecu. Dom jeszcze nie wykoń-
czony, na łóżku zimno, na pięcu
dobrze, ciepło.
Skonczyliśmy obierać ziemnia-
ki i poszłam za nim. Wlazłam
na piec, a on, nie nie mówiąc,
huknął mnie w ucho. Patrzył
go! Rozłożył się, że nie poszłam
za nim od razu, że nie usłucha-
łam go. Przez cztery dni nie mo-
głam głową obracać. Więc ja
w krzyk. Przybiega tato — bo-
so, w kalesonach — już kładł się
spać. W reku majda mu się rze-
mień. „A ty won z mojej cha-
ty!” — krzyknął na Goga. A ja
siedzę na piecu, płaczę i na
śmiech mi się zbiera: tato stoi
na środku chaty, maleńki, zape-
czony, no, słowo daje, jak ko-
guć, a Goga, kiedy zlaży z pie-
ca, wydawał się dwa razy wię-
kszy od niego. Myślałam, że be-
da się bił. Ale Goga posłuchał
się. Ubrał się i poszedł. Nie mo-
gę powiedzieć, pożegnał się, re-
kę każdemu podał i tacie i ma-
mie i mnie... Od tego czasu wie-
cej już nie zachodził.
— Nie posześciło ci się, Zi-
noczka, z tym zamażpójściem.
Ledwie zdążyłaś wyjść — a już
odpowiedział. Tylko nie bierz so-
bie tego zbyt do serca. Wszystko
jeszcze przed tobą — i dobre
i złe.
— A on śmieszny taki cieka-
wy... — Zina jakby nie wyczu-
ła współczucia w głosie Maru-
ty, uśmiecha się bliźszymi jak
szkiełka oczami. — Mówi, że jak
pobierzemy się, pojedziemy mie-
szkać do Bobrujska. Ma tam

swój dom, sąd, no i zawsze to
miasto! Mówi, ty nie będziesz
chodzić do pracy, będziesz gospo-
darzyć w domu... Ja i nie wie-
rzyłam, że on żonaty, póki pier-
wsza jego żona nie przyjechała.
— Z Bobrujska?
— Aha... Akurat na drugi dzień,
jak go tato wygnął. Przyjechała
z chłopczykiem. Trzy latka.
Zgrabniutki, czystutki, w ubran-
ku... A brewki takie, jak u Go-
gi, i już całkiem czarne, czar-
niutki, duże. No, wykapany Go-
ga...
— Póki małe, wszystkie dzieci
są dobre i ładne. A wyrosną...
Aha... Dawno już chciałam cię
spytać i zawsze zapominam. Go-
ga, to co, tak go przezywają, czy
to imię takie? —
— Imię takie. — Okrągła twarz
Ziny rozplynęła się w uśmiechu.
— I mnie początkowo jakoś
dziwnie było. No, cóż to, myślę,
za imię? Goga? A potem przy-
zwyczailam się i dobrze. Goga,
Georgi, Zor...
— Rozmowa urywa się. Maruta
z jakąś pasją rzuca na ławę
kieszki i ciągnie do niej nożem.
Przez nieostrożność odciała ko-
niec. Odrzuca całą kieszkę i się-
ga po drugą.
Zina także sięga ręką do miski.
Po krótkiej przerwie znów się
odzywa:
— Ja myślę, clociu, żeby go
podać do sądu. Mysmy mu prze-
cieć kupił na wesele i koszulę
i garnitur, to niech chociaż za to
zapłaci... I żeby chociaż coś po-
wiedział... Żeby choć powiedział,
że nie kocha, to byłoby jakoś
łżej. A to pojechał — i wszyst-
ko... Jakby się nie stało.
— Diabli z nim. Zinoczka, i z
tymi pieniędźmi. Przeżegnała się
i machnij na to wszystko reka.
Dzięki jeszcze Bogu, że i tak ja-
koś wyszła z tego, ciesz się, że
jeszcze dzieci nie ma... Będzie

Zbliżył się do niej, zdjął ze ściany.
Złożywszy w czworo wziął ze sobą
Obraz Ojczyzny ukochanej,
Ratując go od ręki wroga.

A było to pamiętnej zimy
W męźnie bijącym się rejonie.
W ten rok dla Niemców — ostateczny,
Kiedy pod Moskwą nasz waleczny
Żołnierz w niezłomnej stał obronie.

Szedł dzień za dniem, jak bój za bojem,
A żołnierz, który zabrał mapę,
Jej los połączył z losem swoim
I z mapą kroczył do ataku.

Wymował ją z kieszeni płaszczka —
Podczas postoju wolnej chwili,
Na ziemi kładł i ręką głaszcząc
Z towarzyszymi głowę chylił.

I każdy widział kraj rodzinny,
Patrzył na dom w Kazaniu, w Baku,
Ten w Alma-Ata, w Mińsku inny.
Chronic ją wspólnie przysięgali,
Schyleni nad nią jak w ataku.

Aż wreszcie czas zwycięstwa nastał,
Oswobodzając wsie i siola
Żołnierz do tego przybył miasta,
gdzie kiedyś mapę wziął ze szkoły.

Tak się złożyło, że w tym czasie
Przyszedł na lekcję chłopaczyna
I zauważył w swojej klasie
Mapę, po której ślad zaginął.

Przebił i przerwał ją odlamek
Od miasta Orła aż do Dniepru.
Pod Orłem miała ciemną plamę,
Tu, gdzie żołnierska krew zakrzepła.

I powiesili ją uczniowie,
Aby codziennie z niepokojem
Chorągiewkami znaczyć nowe
Zwycięstwa drogiej Armii swojej.

Przełożył: Igor Sikirycki

Sergiusz Michałkow urodził się w 1913 roku w Moskwie. Debutował w roku 1928 wierszem pt. „Droga”, zamieszczonym w piśmie ukazującym się w Rostowie gdzie jego ojciec, znakomity naukowiec i hodowca ptaków, pracował w jednej z gospodarczych instytucji północnego Kaukazu. W 1930 roku Michałkow kończył średnią szkołę i postanowił poświęcić się literaturze. Nie mogąc jednak utrzymać się z zarobków pozostającego literata, pracuje w charakterze zwykłego robotnika — tkacza w Półniej bierze udział w naukowej wyprawie geologicznej do Wschodniego Kazachstanu.

W następnych latach piše liczne utwory zaadresowane do najmłodszych czytelników. Wiersze te, tłumaczone na wszystkie języki narodów Związku Radzieckiego, ukazują się w milionowych nakładach, przynosząc autorowi ogromną popularność.

Osobny rozdział w twórczości pisarza stanowią sztuki teatralne dla dzieci i młodzieży, tak popularne jak: „Pan Kenty”, „Czarodziejski sen”, „Szczególnie zadanie” i „Czerwony krawaś”.

W czasie wojny Michałkow przebywał w szeregach armii w charakterze korespondenta. W roku 1943, wraz z poetą El-Registanem, piše tekst hymnu ZSRR.

W latach 44-45 razem z armią kroczy szlakiem walk przez Pol-kę, Rumunię, Węgry, Czechosłowację i Niemcy.

Sergiusz Michałkow, laureat najwyższych literackich nagród Związku Radzieckiego, piastuje także funkcje sekretarza Związku Pisarzy Radzieckich, oraz prezesa Związku Pisarzy Federacji Rosyjskiej.

jeszcze w twoim życiu szczęście,
nie bój się. Znajdzie się jeszcze
człowiek, że i tobie się spodoba
i ty dla niego będziesz miła.
A to jest szczęście... Na trzeci
dzień po weselu głowa o pieci...
Już mój był niezły zwierzak, ale
reki na mnie nigdy nie podniósł.
— A dlaczego, clociu, nie puści-
ciś go, kiedy wrócił? Opowia-
dają, że on bardzo się prosił...
— Zina spogląda na Marutę, cze-
ka.
— Prosił się. I to nie jeden
raz... Ale odprawiam go tam,
gdzie dotąd był. Jak zostawił
mnie jedną z dwoma na reku,
wtedy nie prosił się. Zakreślił
ogonem i przendrał jakby nie był
ojcem. Serce wtedy nie bolało.
A teraz, kiedy chłopcy powyr-
stali, przypomniał sobie nagle.
Przypomniał swoją krew, psi
ojciec...
Znow postukują nozę... Zina
wraca do tematu:
— A ja jednak chcę iść do
prokuratora. Co on powie, co dor-
adzi? Może chociaż z pięćdziesiąt
rubli wróci się...
Maruta milczy — zawzięcie
skrobie nożem. Unosi głowę wte-
dy, gdy Zina znów ja pyta:
— Clociu, popatrz, czy nie za-
drobno kraje?
— Dobrze, Zinoczka, jak pokra-
jesz, tak i będzie. — odpowiada.
— Dawno już przestały w pie-
cu strzelać iskry. Spocięła, roz-
sypany był złoty węgielek. Tylko za
oknami nie cichnie szum i sze-
lest i, zda się, ktoś ciężko się
obraca, jakby usłował bezsku-
tecznie podnieść się...

Przełożył:
MACIEJ JÓZEF
KONONOWICZ

Anatol Kudrawiec, ur. w 1936 r. we wsi Okolice koło Mohylewa. Po ukończeniu studiów filologicznych pracował w radio i w redakcji „Literatura i sztuka”, a potem jako redaktor działu literackiego w wydawnictwie „Belorus”. Autor powieści i szeregu opowiadań. Ostatnio (w 1976 r.) ukazał się nakładem wydawnictwa „Mastackaja literatura” obszerny tom jego opowiadań pt. „Ziny i wiosny”.

BRUDNY INTERES

Amerykańska prasa uderzyła na alarm.

Tygodnik „Newsweek” pisze już na wet o nowym przemyśle, który pojawił się nieoczekiwanie na scenie gospodarczej i zaczyna odgrywać rolę coraz bardziej znaczącą. Są nim nagminne pożary. — To już przybrało rozmiary niepomahowanej epidemii — skarży się szef nowojorskiej strażnicy pożarnej John Barracato. — Rzeczywiście, na epidemii to wygląda, na taką, która szerzy się jak ogień właśnie.

W Nowym Jorku poszło tego roku w tajemniczych okolicznościach z ogniem ponad 300 wielkich kamienic. Dla powstrzymania wzbierającej wciąż falę pożarów utworzono wydzielone oddziały straży pożarnej. Liczą one już kilkadziesiąt osób. Niestety, jak to z ogniem, czasem wydaje się, że do ognia ogień się dodaje. Ogromnie trudno zwalczyć wielki pożar, który szaleje w gęsto zabudowanej dzielnicy mieszkalnej.

Wskutek rosnącej plagi pożarów towarzystwa ubezpieczeniowe Nowego Jorku straciły tylko w roku ubiegłym 2 miliardy dolarów.

Wielkie straty poniósł też zarząd miejski. Nie ma domów — nie ma podatków od nieruchomości. A burmistrz Nowego Jorku z podatków żyje.

Epidemia czy może zorganizowane przestępstwo?

Ogień podkłada się zwykle z zemszy, z zawilsi, dla zatarcia śladów makabrycznych niekiedy zbrodni. Podpalacz jest chytry, przebiegły i wyrafinowany. Niezmiernie rzadko da się za rękę schwytać. Zostawia zapaloną świecę. Nim świeca się wypali i płomyk dotrze do podłożonych na dół smatki podpalonych naftą, podpalacz jest już za górą i rzeka. Więc epidemia? Skądże, raczej mafia i przestępczy gang. Co do tego nikt już po drugiej stronie oceanu złudzeń nie żywi.

Ci starsi łodzianie jeszcze pamiętają.

Z dymem szły ogniś w tym miesiącu duże i małe przedziały bawelniarne. Pały się jak święte chinki. Za niedługo z tych pożarów krył się na zimno kalkulujący fabrykant. Gdy stał na progu plajty i bankructwa, to zdarzało się nader często, siegał po ogień. Upřednio pubezpieczał się na wszystkie bóki. Polisa. To go ratowało. Brał odzyskanie w żywej gotówce, którą mógł zaraz uruchomić w innym całym przedsięwzięciu. Geszeft to geszeft. To rzecz święta wieczna i niezniszczalna. Byłe profity prześwićcał z największymi szwindli i machlojek. Reszta nie miała znaczenia. To już „bonanza” — pisze „Newsweek”.

Właściciele rozlatujących się w Nowym Jorku czynszówek nie bez racji sądzą, że tylko pożar może ich cało przetranszować na bezpieczny brzeg pochnonej prosperity. Niech ogień pochłonę ruderę. Byłe forsa wpadła z ubezpieczeń. Od robienia pożarów są profesjonalisci. Są fachowcy dużej klasy. Zawodowiec robi to ze znanstwem. Idzie na możliwość najmniejszego ryzyka, choć ryzyko związane jest przecież z każdym bez wyjątku zawodem. Są oczywiście mistrzowie i są fuszerzy. Są wielcy i mali kanciarze.

„Newsweek” podaje, że w Nowym Jorku pewien duży przedsiębiorca zapłacił małow podpalaczowi 1000 dolarów. Mały podpalacz miał puścić z dymem konkurencyjny dom towarowy. Mogło się udać. Ale mały podpalacz wynajął do roboty jeszcze mniejszego podpalacza. Kilkunastoletni chłopak dość nieudolnie zabrał się do dzieła, tak, że go nakryto na gorącym uczynku. Wpadł. Ale sędzia innych takich chłopców jest do wynajęcia za jedyne 100 dolarów.

I znów przypominają się przedwojenne Bałuty, gdzie drobni geszeftiarze wynajmowali złodziejasków dla likwidowania konkurencji. Złodziejask tak urządził w nocy uprzony sklepik przy Franciszkańskiej, że kupczyk szedł z torbami. Zastawia ramiem ruiny nie sklep. Tylko się powiesił. A po drugiej stronie ulicy handciarz zacierał ręce. No teraz dopiero geszeft pójdzie jak należy.

Nowa branża w nowojorskich interesach? Możliwe, tak przynajmniej utrzymuje „Newsweek”.

Specjalistami dużej miary okazali się Roland Hansen i jego syn Steven. Założyli przedsiębiorstwo. Skrupowali za beczec mocno już zębem czasu nadgrzyzone budynki mieszkalne. Wysoko jednak te czynszówki ubezpieczali. Potem domy podpalali, licząc na duże odszkodowanie. Szło. Przy ogniu piekli dwie pieczenie. Jeszcze jak szło. Zapelnie jak po maśle. Zawodowcom od pożarów plaćli za przyszłe 1800 dolarów. Z nie wyjaśnionych powodów wpadli, choć według amerykańskich statystyk zaledwie co 50 podpalacz trafia przed oblicze sędzię.

Zawodowcy rzadko zostawiają ślady. Jak w ogniu wrzucił.

JAN BABIŃSKI

Dalszy ciąg ze str. 1

Trzeba tu bowiem przypomnieć, że Republika Federalna Niemiec w początkowym okresie istnienia nie posiadała suwerennych praw w odniesieniu do swej polityki zagranicznej. Te, były RFN dopiero stopniowo nadawane przez mocarstwa zachodnie. Zniesienie stanu wojny między nimi a Republiką Federalną, co nastąpiło w 1951 roku, spowodowało, iż rząd zachodniemiecki otrzymał prawo utworzenia ministerstwa spraw zagranicznych i nawiązywania stosunków dyplomatycznych. W rezultacie, w okresie poprzedzającym jeszczé rządów Adenauera pojawiła się analogiczna sytuacja w jakiej znaleźli się na początku lat dwudziestych dwaj politycy Republiki Weimarskiej: Stresemann i Rathenau, mianowicie konieczność oddzielenia dyplomacji od jej instrumentów militarnych i jej moralnego oparcia. Toteż w opinii ówczesnych polityków RFN, z uwagi na istniejący „stan bankructwa” i administracji nim z zewnątrz, należało przede wszystkim stworzyć „stan wypłacalności”, który jest warunkiem sine qua non prowadzenia polityki zagranicznej w ogóle.

Wyłonił się również drugi zasadniczy problem, który z kolei niemal nieprzerwanie dominował w niemieckiej Aussenpolitik od czasów utworzenia Rzeszy przez Bismarcka — to jest problem wynikający z centralnego położenia Niemiec. W historii dyplomacji niemieckiej można wyróżnić trzy „klasyczne” warianty rozwiązań: — „radikalny”, a la Wilhelm II i Adolf Hitler. Według tego wariantu „okrażenie” miało być zlikwidowane na drodze rozprzeźstrozienia się przemocą na wszystkie strony, a wszelkie przyszłe zagrożenie — zażegnane dzięki własnej hegemonii;

— wariant Bismarcka, który zabezpieczał się wobec Wschodu, to znaczy Rosji i Habsburgów przez sojusz, ale świadomie godził się z możliwością konfliktu z Zachodem (z Francją, lecz nie Anglią);

— wreszcie wariant „Locarno” Stresemanna, który z kolei zabezpieczał sobie tyły na Zachodzie przez uznanie statutu quo, by tym skuteczniej móc zakwestionować status quo na Wschodzie.

Polityka Adenauera, której przejściowym ukoronowaniem miały stać się „układy zachodnie”, była — per analogiam — ulepszoną i rozszerzoną wariantem Stresemannaowskiej polityki Locarno. Przez korzystne dla Francji rozwiązanie problemu Saary, przez włączenie Republiki Federalnej do Europejskiej Wspólnoty Obronnej (EWO) i przez forsowanie porozumienia zachodnieuropejskiego zamierzano raz na zawsze znormalizować status quo na Zachodzie. Wynikać stąd miała owa siła, przy pomocy której chciano utrzymać w charakterze kwestii otwartej, jeśli nie wręcz zmienić, status quo na Wschodzie.

W tym momencie nie sposób nie włączyć do rozważań wewnątrzpolitycznego aspektu zachodniemieckiej Aussenpolitik. Lata pięćdziesiąte bowiem, to nie kończą się pasmo gwałtownych polemik politycznych między CDU/CSU a SPD, jakie rozgorzały wokół kwestii wyboru metody nadawania kształtu polityce zagranicznej RFN. Toczyły się one w atmosferze totalnej opozycji wskutek czego taktyczne różnice odnośnie tej polityki wydawały się często pseudoprincipjalne. Dochodził do tego czynnik koncentrowania się SPD na oczywistych sprzecznościach koncepcji Adenauera, co potęgowało wrażenie, że socjaldemokracja występująca „narodową odpowiedzialnością” przeciw „ponadnarodowej samolikwidacji”. Obydwa czynniki nadały więc debatom niemal eschatologiczny charakter, przysyłając jednocześnie znaczny stopień wspólnych koncepcji docelowych oraz „maloniemieckich” kategorii, którymi posługiwały się obie strony. W konsekwencji, jak „skarża się” krytycy owego sporu o metode: „wieszka część debaty dotyczyła nie zjednoczenia, lecz najlepszego sposobu zabezpieczenia i uzdrowienia Republiki Federalnej jako częściowego spadkobiercy III Rzeszy”. (J. Joffe: „Europa—Archiv” 473).

We wspomnianym okresie wyłonił się również spór o priorytety (z jednej strony integracja z Zachodem, z drugiej — pozostawienie otwartej sprawy status quo na Wschodzie). Okazał się on przy tym równie bezpłodny co poprzedni, jako że z ówczesnej perspektywy nie można było po prostu obalić jego tezy, bowiem żadna z obydwu stron nie potrafiła określić jasnej i skonkretyzowanej postaci swych dążeń i oczekiwań. Ponieważ zaś obydwie unikały poza tym skrupulatnie „ukazywania alternatywy (lub alternatyw) w jej całej złożoności lub też konsekwentnego myślenia do końca”, łatwo było każdej ze stron piętnować słabości koncepcji drugiej strony. Z dzisiejszej perspektywy wiemy, że integracja z Zachodem oraz zjednoczenie Niemiec wzajemnie się wykluczały. Można zakładać, że wiedział o tym również Adenauer, lecz ze swej strony nie

mógł wówczas przyznać, że między związaniem się z Zachodem a obiecanym przez mocarstwa zjednoczeniem istnieje sprzeczność. W rezultacie rząd zachodniemiecki przedstawiał Układ Niemiecki nie tylko jako dający się pogodzić ze zjednoczeniem, lecz wręcz jako jego warunek.

Tymczasem zaangażowanie Zachodu w sprawie zjednoczenia — wyrażone w układach zachodnich z 1952 roku oraz — po ich fiasku 30 sierpnia 1954 roku we francuskim Zgromadzeniu Narodowym — w układach z 1964 roku, nigdy nie stanowiło operatywnej podstawy działania. Mimo ofensywnej etykiety, była to strategia „negatywnych klauzul zachowa-

ANDRZEJ BLAJER

RFN: ALTERNATYWY POLITYKI

nia się fair”, a tym samym, w gruncie rzeczy był to element defensywny i kontrolujący, w warunkach narastającej dwubiegunowości w Europie. Strategia ta odważajmniała się Republikę Federalną — za układ obronny i odłożenie zjednoczenia — gwarancjami bezpieczeństwa, obietnicami politycznymi oraz będącym wyrazem emancypacji — przywieciem RFN do NATO, aby zjednoczenie tym skuteczniej włączyć ten kraj w ramy zachodnie.

Po genezy konferencji szefów rządów „Wielkiej Czwórki”, w lipcu 1955 roku, której celem było położenie kresu „zimnej wojnie”, zaangażowanie mocarstw zachodnich w problem niemiecki objawia się już nie w postaci aktywnej polityki zjednoczeniowej, lecz w polityce „funktim”. Według tej koncepcji odprężenie w Europie mogło posuwać się tylko krok w krok za postępmi w kwestii zjednoczenia.

Polityka ta dała rządowi Federalnemu uniwersalną broń, którą można było stosować defensywnie w polityce zagranicznej i ofensywnie w polityce wewnętrznej. Rezygnacja z własnego Ostpolitik pozwalała występować RFN nie tylko w roli wszechstronnie cenionego partnera Zachodu, lecz pozwalała przede wszystkim dzięki temu funkcim, zakładać veto wobec każdej — uznanej w opinii rządu za „dyskryminującą” — zmiany status quo (w tzw. polityce bezpieczeństwa). W ten sposób owo funkcim (początkowo pomyslane jako mechanizm aktywizujący politykę zjednoczenia) zostało w praktyce odwrócone. Dzięki temu, tak długo jak kwestia zjednoczenia pozostawała nierealna, Republika Federalna mogła blokować (co czyniła zresztą aż do lat 60) wszystkie koncepcje modyfikacji w dziedzinie bezpieczeństwa europejskiego (w tym zarówno zachodnie projekty niezaangażowania, jak i odprężeniowe propozycje państw socjalistycznych, m.in. plan Rapackiego), które w mniemaniu władz zachodniemieckich nadywałyby RFN „gorszy” status lub utrwałyby „otwarty status quo”.

Natomiast w sferze polityki wewnętrznej układy zachodnie „uwolnily” rządy K. Adenauera od „ryzyka” prezentowania własnej linii politycznej wobec krajów socjalistycznych. W rezultacie wszystkie oferty ZSRR w sprawie rękowań, wymagające samodzielnej reakcji RFN zostały automatycznie zablokowane m.in. generalnym domaganiem się „wolnych wyborów”. Jednocześnie uśpił, ale stanowiący źródło obaw nacjonalizm społeczeństwa można było w ten sposób bez przeszkód wysublimować w formie wojującego antykomunizmu, który zarazem przynosił korzyści wyborcze. Ta, z rozmysłem przeprowadzona wielostronna amputacja polityki zagranicznej, zgodnie z którą zjednoczenie było sprawą sojuszników, stworzyła warunki do skutecznego praktykowania przez RFN „polityki odgraniczenia” (Abgrenzung). Polityka ta sprzyjała konsolidacji wewnątrzpolitycznej, izolowała opozycję socjaldemokratyczną, pozabawiając ją wszelkich możliwości przeciwdziałania i wreszcie na długo zapewniła CDU/CSU kierowanie rządem.

Czy jednak rzeczywiście w okresie lat pięćdziesiątych i wczesnych lat sześćdziesiątych Republika Federalna zrezygnowała z polityki wschodniej. Odpowiedź brzmi — „i tak i nie”. Tak — jeśli przez Ostpolitik rozumieć zespół koncepcji i doktryn oraz odpowiadających im praktycznych działań, których celem miało być nawiązanie konstruktywnego dialogu z

krajami socjalistycznymi na rzecz pokojowego uregulowania wzajemnych stosunków i uznania postanowień umowy poczdamskiej. Nie — jeśli uwzględnić faktyczne dążenia RFN w polityce wobec Wschodu, sprrowadzające się w swej istocie do permanentnego kwestionowania terytorialnego i politycznego status quo na kontynencie europejskim, ukształtowanego w następstwie skutków II wojny światowej. Toteż politykę wschodnią wspomnianego okresu należy rozpatrywać właśnie w tym drugim kontekście. Akcentując strategiczny cel RFN, jakim miało być przywrócenie jedności Niemiec, sformulowano tzw. doktryne Hallsteina, wymierzoną przeciw NRD (zgodnie z

wo treść jego polityki wschodniej nie sprowadzała się do uznania per se terytorialnego i politycznego status quo w Europie, lecz do koncepcji normalizacji, poprzez zawarcie układów o rezygnacji z użycia siły, w których w jakiejś bardzo ogólnikowej formie byłaby ukryta obietnica respektowania przez RFN aktualnej mapy Europy. Ponieważ propozycja ta spotkała się ze zdecydowanym sprzeciwem państw socjalistycznych, rząd Republiki Federalnej, chcąc, aby procesy normalizacyjne przyniosły spodziewane efekty, zdecydował się uznać „europejski ład pokojowy” i zrezygnował z koncepcji zjednoczenia Niemiec w formie narodowo-państwowej. Z uwagi na skomplikowany aspekt wewnątrzpolityczny tego ostatniego problemu, Brandt wystąpił z idea osiągnięcia „jedności narodowej” w innej postaci, którą sformułował jako „europejską politykę pokojową”. W swym rozumowaniu opierał się on na trzech przesłankach. Przed wszystkim spodziewano się, iż postępujący, stopniowy proces „zmian przez zbliżenie” (Wandel durch Annäherung) przyczyni się do osiągnięcia postępu w odniesieniu do problemu niemieckiego, z tym, że zakładano, iż do jego rozwiązania może dojść tylko pod warunkiem zaaktywienia współpracy między przeciwstawnymi układami sił. Drugą przesłanką przewidywała, że istniejące w Europie polityczne i terytorialne status quo musi zostać zaakceptowane jako punkt wyjścia do „europejskiej polityki pokojowej”. Na koniec Brandt dowodził, że „zmiany przez zbliżenie” nie mogą nastąpić automatycznie, bowiem zapewnienie trwałego pokoju nie jest sprawą łatwą i wymaga czasu.

Jego „politykę pokoju” trzeba zatem rozpatrywać z punktu widzenia dwóch głównych koncepcji, które w sobie kryła, to jest: jako „uregulowane współistnienie” (geregeltetes Nebeneinander) w Europie czy „europejskim systemie bezpieczeństwa” oraz jako „europejski ład pokojowy”, który obejmował zasadę „organizowania współpracy” (Organisierung des Miteinanders). Przy tym, pierwszy i elementowy tej koncepcji należało traktować jako konieczny warunek wstępny w odniesieniu do drugiego z nich.

Dla Brandta rzeczywiste i trwałe bezpieczeństwo w Europie (tj. „geregeltes Nebeneinander”) było uzależnione od: wyrzeczenia się użycia siły w stosunkach między wszystkimi państwami naszego kontynentu, problemu wzajemnej redukcji sił zbrojnych w Europie środkowej, porozumienia w kwestii ograniczenia i jeśli to możliwe — kontroli zbrojeń. Wykrystalizowanie się takiego systemu bezpieczeństwa było w opinii ówczesnego kanclerza RFN niemożliwe do zrealizowania bez aktywnego udziału zarówno ZSRR jak i USA.

W opinii czołowych polityków koalicji socjal-liberalnej stworzenie systemu bezpieczeństwa europejskiego pozwoliłoby z kolei skoncentrować uwagę na problemie „Organisierung des Miteinanders”. Realizację fundamentalnego porozumienia między państwami Europy i pojednania między jej narodami Brandt upatrywał w rozwoju nowych form ekonomicznej, technologicznej, naukowej i kulturalnej współpracy wszystkich krajów kontynentu oraz w budowaniu ogólnoeuropejskiej infrastruktury. Wykładnia polityki zagranicznej rządu Brandta sprowadzała się zatem do tego, iż traktując swoją politykę wschodnią jako punkt wyjścia do jakościowych przeobrażeń stosunków między Wschodem a Zachodem w kwestii europejskiej, uważał układy wschodnie za podstawę dla normalizacji stosunków Bonn z krajami wspólnoty socjalistycznej, mając przy tym nadzieję, iż z chwilą ukonstytuowania się „europejskiego ładu pokojowego” zostanie również ostatecznie uregulowany problem niemiecki. Innymi słowy, koalicja socjal-liberalna wychodziła z założenia (mając na uwadze aspekt nie tyle międzynarodowy, ile wewnątrzpolityczny), że już sama ewolucja w sytuacji europejskiej wytworzy ów stan, w którym nieprawdopodobny cel zjednoczenia narodowo-państwowego, albo stanie się zbędny, albo będzie można się pogodzić z niezrealizowaniem go (idea ta znalazła swoje odzwierciedlenie w „układzie podstawowym” między NRD a RFN, zawartym w 1972 roku).

Konkludując, można stwierdzić, że najważniejszy impuls zewnętrzny, procesu przeobrażeń zachodniemieckiej wizji świata, a zwłaszcza Europy, wynikał z erozji „polityki funkcim”, uprawianej w latach sześćdziesiątych. Ewolucja bońskiej Ostpolitik od „małych kroków” Gerharda Schrödera, przez koncepcje „zmian wskutek zbliżenia” („wielkiej koalicji”) do koncepcji Brandta „zbliżenia przez zmiany”, uświadomiła RFN bezwzględna konieczność popierania owego strukturalnego rozwoju w stosunkach europejskich oraz między-niemieckich, stając się zarazem raison d'etre obecnej polityki wschodniej rządu Helmuta Schmidta.

ANGIELSKIE RAKIETY SKRZYDLATE

Działalność, jaką rozwija Pentagon na rzecz skrzydlatych raket prowadzi do rozpowszechniania tego nowego rodzaju broni, przede wszystkim wśród sojuszników USA w NATO. Nie jest to bynajmniej głoszone. Brytyjskie ministerstwo obrony asygnowało środki na sfinansowanie prac prowadzonych nad skonstruowaniem angielskiej rakiety skrzydlatej, która by mogła zająć miejsce amerykańskich raket Polaris z ładunkiem jądrowym.

W rozmowie z korespondentem „Sunday Times” brytyjski minister obrony, John Gilbert, stwierdził: „Nie mamy żadnych planów posiadania raket skrzydlatych”. Niemniej ministerstwo obrony wysygnowało środki na wstępne badania w celu opracowania koncepcji angielskiej rakiety skrzydlatej z uwzględnieniem wymaganej długości lotu i określonego ładunku. Wysygnowana na ten cel suma w wysokości 20 tysięcy funtów szterlingów nie jest wprawdzie zbyt duża. Nie chodzi jednak o pieniądze, lecz o to, że krok ten stwarza ważny precedens: teraz oficjalnie wiadomo, że rząd brytyjski „jest zainteresowany w stworzeniu tego systemu rakietowego”, chociaż wywołuje on mnóstwo kontrowersji w planie politycznym.

Prace nad projektowaniem angielskiej rakiety skrzydlatej prowadzi filia państwowej korporacji British Aerospace, specjalizująca się w konstruowaniu broni sterowanej. Na obecnym etapie w pracach tych bierze udział około 20 specjalistów. Jednakże obok nich w opracowywaniu programu skonstruowania własnych raket skrzydlatych biorą także udział pracownicy centralnego aparatu ministerstwa obrony i najcięższe głowy z resortu brytyjskiego lotnictwa wojkowego. Poszukiwania prowadzone przez lotnictwo powinny doprowadzić, jak przypuszcza komentator „Sunday Times”, do opracowania kryteriów rakiety zdolnej do przeniesienia głowicy jądrowej na odległość wielu tysięcy kilometrów.

Określone kółka brytyjskich lobby chciałyby umieścić rakietę skrzydlatą na nowych samolotach pocisgowo-bombardujących Tornado, które zbliżywszy się do celu na małych wysokościach, wyrzucałyby bezpiecznie rakietę z angielskiej przestrzeni powietrznej gdzieś nad Morzem Północnym. Rakietę skrzydlatą, orientując się automatycznie według charakterystycznych cech terenu, przelatowałyby nisko nad ziemią, trudno do wykrycia przez nazwane stacje radiolokacyjne przeciwnika. Odpowiadając na pytanie w parlamencie Gilbert przyznał: „W toku obecnych badań uwzględnia się także koncepcje naprowadzania raket na cel według konfiguracji terenu”. Profesor Costa Cipos, znany amerykański specjalista z dziedziny raket skrzydlatych, powiedział korespondentowi „Sunday Times”, że Anglia potrzebowałaby od 2 do 5 lat, żeby stworzyć podobny system naprowadzania.

(C)

Prasa zachodnia nadal poświęca wiele uwagi sytuacji w Zairze, która jest daleka od normalizacji. Po niedawnych wydarzeniach w prowincji Szaba w całym kraju prowadzi się czystkę w aparacie administracyjnym. Ze stanowisk usunięto wielu wyższych urzędników pod pretekstem braku kompetencji i lapownictwa. Szef sztabu generalnego armii zairskiej i gubernator prowincji Szaba zostali oskarżeni o zdradę stanu i rozstrzelani, minister spraw zagranicznych skazany na dożywotnie więzienie. Był on niegdyś jednym z najbardziej wpływowych politycznych działaczy Zairu. Wielu obserwatorów politycznych przypuszcza jednak, że nie pomogą żadne czystki i rządząca klika Mobutu nie zdoła wyprowadzić kraju z głębokiego kryzysu socjalnego, ekonomicznego i politycznego.

ZAIR

REŻIM NA WŁOSKU

W Zairze istnieje zjawisko, którego nie da się wyrazić liczbą: nieprawdopodobna wprost korupcja. Można by to nazwać chorobą endemiczną z licznymi symptomami: łapownictwem, rozkradaniem środków państwowych, oszustwem, grabieżą własności państwowej i prywatnej, kontrabandą, czarnym rynkiem itp. Niedawno, na przykład, tzw. prezydencka dotacja w wysokości 20 tysięcy zairów, przeznaczona na pomoc dla ludności prowincji Goma, dołkniętej wybuchem wulkanu, ułotniała się jak kamfora nim dotarła do ofiar katastrofy. Prezydent musiał przeznaczyć drugą dotację w tym samym wymiarze. Systematycznie giną paczki z lekarstwami. Niedawno podano do wiadomości, iż skrzynie z medykamentami są okradane do dna i zapełniane kamieniami. W Lubumbashi jednym z większych miast Zairu, luksusowy hotel „Caravia” ponosi straty, zmuszony do udzielania kredytów ogromnej liczbie urzędników i wojskowych oddziałów do stolicy prowincji Szaba, którzy wolą podpisywać rachunki niż płacić pieniądze. Kierowcy taksówek w Kinshasie nie lubią pracować w nocy; doskonale znają „taryfy” nocnych patroli wojskowych, uzależnione od stopnia dowódcy patrolu. W prowincji Goma, jak informuje korespondent „Le Monde”,

znalezli schronienie wycuci z ziemi chłopci. Porzucając dalekie górskie osady sądzili, że nie mają już nic do stracenia, ale w mieście czekali na nich bezrobocie i niedźża. Wojskowy komisarz okręgu realizuje politykę rządu, „a rząd Mobutu nie chce, żeby w mieście byli bezrobotni”. Pragnąc zachęcić chłopów do uprawy ziemi, rząd przydziela im za darmo działki ziemskie położone setki kilometrów od miast. Jest to jednak problem bardzo skomplikowany, bowiem prowincje z jaką taką ziemią są przeładowane, lub bardzo ubogie, albo jedno i drugie razem. Najbardziej jaskrawym przykładem jest Kadutu. Jest to miasto z blanszanych baniek, klasyczny bidonville, siedlisko nędzy, w którym gnieździ się 120 tysięcy kobiet, mężczyzn i dzieci. W Kinshasie i w przeludnionych miastach Kiwu ludność bardzo odczuwa skutki głębokiego kryzysu ekonomicznego w jakim znajduje się Zair, doświadcza na sobie całej kłęski bezrobocia i inflacji, która już od kilku lat wstępuje krajem.

W końcu 1975 roku zagraniczne długi Zairu sięgały blisko 3 miliardów dolarów, z których 53 procent przypadało na prywatne banki egzekwujące bardzo wysoki procent. Kraj musi importować niemal wszystkie urządzenia przemysłowe. W kwietniu

tego roku wprowadzono w Zairze surowy „program stabilizacji”, przewidujący, jak to wyliczył minister finansów, „ostateczne zerwanie z dawnymi zwyczajami”. Oznacza to dalsze ograniczenie importu, obcinanie wydatków publicznych, zamrożenie zarobków pracowników państwowych. Jednakże nikt nie wierzy w Zairze, żeby wprowadzenie tych „reżimów ekonomicznych” mogło uzdrowić gospodarkę kraju. Demoralizujący przykład idzie z samej góry. Nie można dywagować na temat dyscypliny finansowej, jeśli istnieje praktyka „prezydenckich dotacji” — czyli tzw. pakietów z pieniędzmi z nieograniczonymi sumami, które ofiarowuje sobie wzajemnie elita aparatu administracyjnego. Nikt też nie wierzy, żeby władze zdołały, albo żeby w ogóle chciały, przejąć praktykę skandalicznego trwonienia grosza publicznego, żeby położyły kres spekulacji i korupcji. Wszystko wskazuje na to, że rząd Mobutu nie będzie stać na przeprowadzenie „moralnej reorientacji” systemu i, co za tym idzie, całe brzemie obecnego kryzysu spadnie na barki najbardziej nieżyjących warstw ludności.

Chaos ekonomiczny pogłębia krótkowzroczność rządzącej kliki Mobutu, a skutki tego również obarczają ludność Zairu. Przykład: prowadzona obecnie budowa linii prądu wysokiego napięcia Inga-Szaba, długości 1700 km, która ma zasilać w energię elektryczną przemysłowe ośrodki leżące na trasie tej linii, okazała się zbyt bezczynna, nie ma tam bowiem ośrodków przemysłowych... Wysokie koszty budowy i straty w energii spowodowały nieprzewidziane wydatki przy realizacji projektu, idące w setki milionów dolarów. W konsekwencji elektrownia wodna, która miała stymulować rozwój przemysłu w Zairze, okazała się niepotrzebna. Jej turbiny produkują zaledwie 20 procent przewidywanej mocy. Rząd Mobutu robił wielki szum wokół rozwoju gospodarki rolnej, nazywając go „priorytetem priorytetów”. Ale mimo zwiększenia, zresztą raczej symbolicznego, środków na potrzeby tej gałęzi gospodarki, wyniki tej akcji rządu są żadne. Gospodarka rolna pogarsza się systematycznie od chwili, gdy Mobutu przejął władzę w Zairze. Niedługo prowincja Szaba eksportowała ziarno kukurydzy, podstawowy produkt żywnościowy kraju. Teraz, importuje się tutaj ziarno kukurydzy z Rodezji a cukier z Zambii. Kiedyś Zair zajmował pierwsze miejsce w świecie pod względem eksportu oleju palmowego, dziś, mimo wprowadzenia w życie (na papierze) „narodowego planu produkcji oleju palmowego”, już od kilku lat rząd importuje go z odległych krajów. Kilogram masła śmietankowego otrzymanego na miejscu, w Kiwu, kosztuje drożej niż importowanego z Europy. Takie przykłady można by mnożyć. Ogólnie rzecz biorąc, import produktów żywnościowych pochłania trzecią część dochodów płynących z eksportu.

Ogromną część budżetu pochłania armia. Kosztuje ona dużo więcej niż się mówi. Jest nadmiernie rozdęta, liczy ponad 50 tysięcy żołnierzy, ale tylko połowa z nich jest sprawna do działań bojowych. Mobutu, obawiając się konkurentów do władzy, podejrzliwie patrzy na kadry oficerańskie młodego pokolenia, kępuje jej inicjatywę i całą władzę w wojsku trzyma w swoim ręku. Mimo to wielu oddanych sojuszników Mobutu doskonale zdaje sobie sprawę, że los reżimu stale wisi na włosku.

Oprac. JERZY CZECH

LAUREAT NAGRODY NOBLA

Vicente Aleixandre, jeden z ostatnich żyjących poetów lewicowych „generacji 1927 r.” otrzymał w tych dniach Literacką Nagrodę Nobla oraz sumę 145 tys. dolarów. Aleixandre jest czwartym z kolei Hiszpanem, któremu przyznano tę nagrodę. Poprzednimi laureatami byli Jose Echegaray y Eizaguirr (1904 r.), Jacinto Benavente y Martinez (1922 r.) oraz Juan Ramon Jimenez (1956 r.).

Ustawszy nazwisko tegorocznego laureata, Juan Marichal, profesor literatury hiszpańskiej na uniwersytecie w Harwardzie powiedział: „Aleixandre to wielki twórca, którego dzieło inspirowało przez całe lata młodych poetów hiszpańskich. Także czołowy pisarz argentyński, Luis Borges powitał przyznaniem Nagrody Nobla Aleixandrowi z dużym zadowoleniem, zaś tłumacz utworów hiszpańskiego poety, Robert Bly, podkreślił, że przez lata nie doceniane dzieło Aleixandra wciąż jeszcze w zbyt małym stopniu znane jest szerszemu ogółowi.

Vicente Aleixandre urodził się w 1898 r. Okres wczesnego dzieciństwa spędził w Maladze, a następnie przeniósł się do Madrytu, gdzie ukończył wydział prawa, studiując jednocześnie ekonomię w Madryckiej Szkole Handlu. Cierpiąc od wczesnej młodości na gruźlicę nerek, przeżywał w zaciszu domowym i poświęcił się niemal całkowicie literaturze. W 1929 r. opublikował pierwszy zbiór poezji pt. „Ambito”, w 1932 r. zaś następny „Espadas como labios”. W 1934 r. wyróżniony został pierwszą nagrodą literacką. Opublikował dotychczas 75 zbiorów, w tym znany poemat poświęcony poecie hiszpańskiemu Miguelowi Hernandezowi, zamordowanemu przez frankistów w okresie hiszpańskiej wojny domowej. W 1974 roku ukazały się jego „Dialogi del concencimiento” („Dialogi poznania”), stanowiące według opinii Akademii „szczytowe osiągnięcie w 50-letniej twórczości poety”.

W werdykcie uzasadniającym przyznaniem Nagrody spotykamy się z następującym określeniem twórczości Aleixandre: „Jego poezja związana korzeniami z tradycyjną hiszpańską liryczną i współczesnymi prądami w literaturze, odzwierciedla rolę człowieka i społeczeństw naszych czasów”. Związany od początku z surrealizmem Aleixandre był jednocześnie pod silnym wpływem hiszpańskiego „złotego wieku” w literaturze XVI—XVIII stulecia. Był również związany z popularną literaturą uprawianą przez współczesną sobie „generację 1927”. Zaliczany do pisarzy „trudnych” Aleixandre operuje skomplikowaną metaforą, używając gwałtownych środków wyrazu. Głównym nurtem jego twórczości jest „siła przeżycia” oraz miejsce człowieka w świecie.

Od początku w opozycji do reżimu gen. Franco — Aleixandre nie udał się jednak, podobnie jak wielu innych twórców, na emigrację, pozostając z przyczyn zdrowotnych w Madrycie. Mimo że przez długi okres panowania dyktatury faszystowskiej osamotniony i odcięty od pisarzy swego pokolenia Aleixandre stał się czołową postacią, przewodnikiem duchowym poetów hiszpańskich okresu powojennego. Nie będąc aktywnym politykiem i nie uczestnicząc w życiu politycznym ze względu na chorobę, Aleixandre dawał niejednokrotnie wyraz swym demokratycznym przekonaniom. Dziennikarzem, który odwiedził go z okazji przyznania Nagrody w jego skromnym domu na przedmieściu Madrytu, powiedział m. in.: — Solidaryzuję się ze wszystkimi ugrupowaniami postępowymi, których celem jest walka o postępowość i rozwój całej ludzkości oraz sprawiedliwość na świecie.

Niezwykle skromny sędziwy poeta zaskoczony był przyznaniem mu wyróżnienia, które — jak określił — stanowi symboliczne potwierdzenie łączności jaka istnieje pomiędzy poezją i innymi ludźmi. Jeżeli poeta czuje głęboką łączność z innymi — powiedział Aleixandre — i jeżeli wie, że ta jest mocna, wówczas wartość przyznanej mu nagrody jest bardziej wraźliwa, gdyż stanowi potwierdzenie tej więzi.

J.B.

50 TYSIĘCY „GORYLI”

Lepiej bezpiecznie niż serdecznie. Przestrzegano ongiś w Królestwie Polskim. Co mniej więcej tyle oznacza, że lepiej być ostrożnym niż za odważnym. Ostrożność bardzo jest dziś w cenie w Republice Federalnej Niemiec. Oto pierwsze z brzegu ogłoszenie zamieszane w „Frankfurter Allgemeine Zeitung”: — Przedsiebiorca poszukiuje ochrony osobistej — Takich ogłoszeń nie jest mało. „Bundesrepublik”. „Dokonał. Ale za ile?”

Biegły w swej profesji „Leibwaechter” żąda po sześć tysięcy marek miesięcznie. Dużo. I swoja forse otrzymuje. Ostatecznie „ochraniacz” stawia wszystkim na jedną kartę. Rzyknąć życiem. To musi kosztować. Prywatnie „ochraniacz” rekrutuje się głównie spośród byłych policjantów, byłych podoficerów i byłych skończonych spadochronowców. To jest ten szkielet. Nie było jak. Zawodowy „goryl” musi być biegły w sztuce zwalczania szantażu, kłopotów, w pewnej mierze wewnętrznej szpiegowości. Musi być biegły

w sztuce Kung-fu, Judo i Karate. Musi walić z broni jak wyborowy strzelec. Musi mieć słuch kota, węch tropiciela i gibkość tygrysa.

A jeszcze to zalecenie: — Rauche und trinke nicht. Nie pij, nie pal i tak dalej.

Te zalecenia wydał Federalny Związek Przedsiebiorstw Ochrony Prywatnej. Obowiązują.

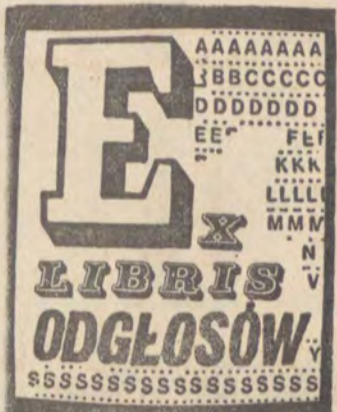
Związek zreszta już 350 dużych firm o wyspecjalizowanym charakterze. W ogóle interesy idą dobrze. Po zamachach na Bubacka, Ponto i ostatnio Schleyera, konta tych przedsiębiorstw wyraźnie specjalizują. Telefony się urywają. Armia „ochraniaczy” szybko rośnie. Liczy już 51 tysięcy wytrawnych speców dla ochrony osobistej bankierów, finansistów, farbykantów, w ogóle prominentów Bundesrepublik. Według tygodnika „Die Zeit” Federalny Związek Przedsiebiorstw Ochrony Prywatnej porobi w tym roku obroty przewyższające grubo dwa miliardy marek. Cóż, jak kto może tak się broni. A

bronić się jest przed czym. Terroryzm w RFN przybiera na sile.

Jeden z wybitniejszych detektywów Hoppe z „Tudor-Agencji” we Frankfurcie nad Menem sądzi, że sami „ochraniacze” to już za mało, aby sprostać wyzwaniu. Zagrożeni porwaniami winni codziennie zmieniać samochody, trasy przejazdu i zmieniać też swój własny wyjazd. Dobre są sztuczne brzozy, sztuczne wassy, peruki i ciemne okulary. Nigdy nie należy opuszczać biura ani prywatnie wili tym głównym wyjątkiem. Zaleca się korzystanie ze schodów kuchennych i tej ogrodowej furtki na zaplecze rezydencji.

Taki to los człowieka.

Mają pieniądze nie dobrze, dużo pieniędzy czasem lepsze gorzel, bo człowiek jeździ wprawdzie mercedesem, ale jeździ z duża na ramieniu. No dobrze, a od czego wozy pancerne? Spokojna głowa, pomysłowość o tym. W Bundesrepublikie aż się kłebi od fachowców branży rozmaitej. Tam wszystko zrobisz. Wszystko zalać. Był



SEPARATYZM

Brytanię również domagają się autonomicznych praw i instytucji w Irlandii...

Dość powszechne separatystyczne dążenia ujawniają się pod różnymi szerokościami geograficznymi...

Robert Bielecki „Jedność czy autonomia”, MON, W-wa 1977, str. 296, cena zł 15.

1 000 SŁÓW O ATOMIE

Rozwój rewolucji naukowo-technicznej każe nam się cieszyć z postępu techniki i nauki...

Początek tak szumnie zapowiadano kiedyś, wieku atomowego, naturalnego, przyczynia się również do kryzysu energetycznego...

Ryszard Szepke „1000 słów o atomie i technice jądrowej”, MON, W-wa 1977, str. 300, cena zł 60.

„PSY WOJNY”

Wiele o „Pszach wojny” Fredericka Forsytha wyprzedziła wydanie książkowe...

W „Dniu Szakala” toczyła się zacięta walka komisarzy policji, a działających w ukryciu zawodowym mordera...

Jeśli „Dzień Szakala” osiągnął na bazarach cenę 400 zł, to można spokojnie złożyć, że „Psy wojny” nie osiągną nawet połowy tej ceny.

Frederick Forsyth „Psy wojny”, tłumaczył S. Wilkosz, Czytelnik, W-wa 1977, str. 383, cena zł 47.

OJA

Te trzy z pozoru tajemnicze litery są skrótem nazwy bardzo ważnej dla Afryki organizacji...

Idea Integracji afrykańskiej pojawiła się już dość wcześnie, ale przez długi okres czasu nie było warunków dla jej urzeczywistnienia...

María Magdalena Kenig „Organizacja Jedności Afrykańskiej”, MON, W-wa 1977, str. 198, cena zł 10.

WYPISY ŁÓDZKIE

FELIKS DZIERŻYŃSKI

LISTY Z ŁÓDZI I O ŁÓDZI

Łódź, 20 lipca 1907 r.

Droży moi! Jutro wracam do Warszawy, niepokoi mnie bowiem chryja z L., o której wiecie chyba...

Obawiam się, że Anatol nie wydoła też, bo wzbudził tu nieufność pewną, zresztą nieuzasadnioną...

Dalej faceci się uskarżają, że robotę przed wybuchem i przedstawiono zbyt słabo, zmniejszono nie wiadomo dlaczego...

Zorganizowanych robotników jest tu, jak powiadać, 600 do 700.

Skład Komitetu — zupełnie nieodpowiedni. Siedzą w nim

ludzie nieczylni, których na utrzymanie wziąć nie można. Kiedy przyjedzie Anatol i prześlemy tu kogós z robotników z Warszawy...

Wysłam jeszcze drugi list. Na rosyjskie broszury też jest ogromne zapotrzebowanie dla agitacji wśród wojska...

Wysłam jeszcze drugi list. Na rosyjskie broszury też jest ogromne zapotrzebowanie dla agitacji wśród wojska...

Wysłam jeszcze drugi list. Na rosyjskie broszury też jest ogromne zapotrzebowanie dla agitacji wśród wojska...

okolice — Zgierz, Pabianice. Zebrałem też tu materiał dla odezwy Komitetu Łódzkiego...

Świeża bibuła dla Łodzi będzie przesłana z Warszawy pojutrze.

Na razie kończę, bo zmachany jestem na potęgę, a za parę godzin już wstawać będę musiał.

Uściłski

Łódź, 23 września 1907 r.

Dziś z rana o 6 rozstrzelano bez sądu 7 robotników i jedną robotnicę od Silberstejna...

Wysłam jeszcze drugi list. Na rosyjskie broszury też jest ogromne zapotrzebowanie dla agitacji wśród wojska...

Wysłam jeszcze drugi list. Na rosyjskie broszury też jest ogromne zapotrzebowanie dla agitacji wśród wojska...

sieli do szpitala odwiedzić. Kaznaków obcuje „w tri miga” zgnieść robotników...

Jutro zapewne wybuchnie strajk żywiłowy. My rzucimy hasło pokojowego strajku — protestu. Wskażemy, że proletariatu łódzki nie uleknę się mordów...

Morderstwa, które miały tu, mają i mieć będą miejsce, powinny wywołać i w Galicji i w całej Europie protesty-mityngi...

Dwa łódzkie listy Feliksa Dzierżyńskiego, wysłane do Komitetu Zagranicznego SDKPIL 20 lipca 1907 i 23 września 1907 r. wydrukowano po raz pierwszy w moskiewskim wydawnictwie „Z pola walki”...

Przekład tytułów odezwy i broszur niemieckich: „Flugblatt — ulotka. Warum sind wir arm? — Dlaczego jesteśmy niedźwiedzi? Grundsaetze — zasady. Was die SD sind? — Czym są socjal-demokraci?”

Przekłady tytułów broszur i odezwy rosyjskich: „Skazka — prawda” — Bajka — prawda. „Prostye rieczy” — Zwykłe rozmowy. „Iz żizni soldat” — Z życia żołnierzy.

Przed wybuchem — to znaczy przed wybuchem powstania czerwcowego w Łodzi. Zarząd fabryki Richtera wydał w ręce policji carskiej delegatów robotniczych — członków SDKPIL.

„Dziejstwowat” — działając bez litości.

Wybór i objaśnienia: H. RUDNICKI

MUZYKA

HYPOKRISIS!

Ostatnio gościł u nas znany nie tylko w kraju znakomity dyrygent, dyrektor Filharmoników poznańskich — Renard Czajkowski...

Renard Czajkowski i symfonia Brahmsa poprowadził fenomenalnie — prawdziwie arcydzieło w acydziale i cudowny koncert orkiestry.

Renard Czajkowski i symfonia Brahmsa poprowadził fenomenalnie — prawdziwie arcydzieło w acydziale i cudowny koncert orkiestry.

Brahms w wykonaniu poznańskiego dyrygenta to popis operowania całością, to przejrzystość koncepcji i plastyka. Czuję się zobowiązany za

wzruszenia dane mi tego wieczora. Szkoda tylko, że się „blasze” od czasu do czasu coś przytrafiło.

Weześniejszy o tydzień koncert symfoniczny zakończył się prawdziwie obłądną satysfakcją dla zespołu — bisem Finału symfonii Bizeta Rzeczą raczej, jak przysłówiowo zamienienie słówca — rzadka. Staranność wykonania zaznaczyła się już od pierwszych taktów melodii elijnych Edwarda Griega.

Jednak „gwoździem” programu był występ Bogdana Czapiewskiego (prof. Zbigniew Siliński — Gdańsk) z III koncertem Rachmaninowa. To karłowate dzieło pianistyczne ma w swym repertuarze zaledwie garstka pianistów — sam Rich-

ter go nie grywa. Napisany przez Rachmaninowa dla siebie samego i „ewentualnej reszty świata” stawia wykonującemu największe wymagania.

Jeszcze jedno muzyczne wydarzenie — tym razem innej już rangi — zajęło uwagę publiczności. Było nim wystąpienie wyróżzonego niedawno nagrodą państwową i stopnia za działalność artystyczną Zbigniewa Szymonowicza z recitalelem chopinowskim. Wykonany między innymi cykl 24 preludów Chopina, który to według nagrań i reklamy (!) miał być specjalnością Poliniego, podobał się tak bardzo że gdyby liczyć uznanie publiczności liczbą wywołanych bisów, to w przekroju opisanych 2 tygodni z życia muzycznego naszego miasta, nie znaczącej tego nie dąłoby się zauważyć. Co prawda nie można zestawiać dla porównania recitalu z symfonią Brahmsa, gdyż dla pianisty co innego jest ważne niż dla dyrygenta, ale. Trzeba przyznać, że nie brakło nam ostatnio wydarzeń dużej rangi.

PIOTR PIETRZAK

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

UMIEJĘTNOŚĆ CZYTANIA

Wiele lat temu zlikwidowałyśmy w Polsce analfabetyzm, a jednak jakże często spotykamy się z ludźmi, którzy nie umieją czytać. Żeby było śmieszniej, chodzi tu nie o ludzi, którzy pisaczkami nie umieją, a o ludzi, którzy nie umieją czytać. Żeby było śmieszniej, chodzi tu nie o ludzi, którzy pisaczkami nie umieją, a o ludzi, którzy nie umieją czytać.

Niedawno jeden ze znanych łódzkich pisarzy powiedział mi z wyrzutem: „Pan to pisze o mnie niezbyt pochlebnie, wytyka pan, że moich książek nikt nie czyta, że leżą w magazynach...”. Ponieważ — jako żywo — nigdy nie recenzowałem książek owego znanego pisarza, postanowiłem dociec, skąd takie opinie o mojego rozmówcy.

No i wspólnie doszliśmy. O to przed paroma miesiącami krytykowałem wadliwą dystrybucję Centralnej Składnicy Księgarskiej. Według posiadanych przeze mnie danych, w chwili, gdy na ekrany wszedł film „Czerwone ciernie”, oparty na motywach książki mego rozmówcy, ileś tam egzemplarzy owej powieści spoczywało sobie w magazynach. W księgarniach ludzie pytali o książkę, ale książki w księ-

garniach nie było. Skrytykowałem więc ową sytuację w interesie pisarza, a nie przeciw niemu.

Kiedy wyjaśniliśmy sobie tę sprawę, pisarz rzekł: „No tak, ale pan złośliwie pisał o mnie w „Życiu Literackim”. Tu już byłem w domu, to znaczy wiedziałem, o co chodzi. Otóż sprawozdawca łódzkiej gazety dość — moim zdaniem — nonszalancko i niezbyt grzecznie skwitował wystąpienie mego rozmówcy na sesji naukowej poświęconej prozie współczesnej. W „Życiu Literackim” wyraziłem więc sprzeciw wobec tonu, w jakim skomentowano wystąpienie zasłużonego pisarza. Czyli — podobnie jak w poprzedniej sprawie — występowałem w interesie pisarza, a nie przeciw niemu.

Niestety — i w pierwszym i w drugim wypadku — umiejętność czytania mego rozmówcy zawiadła. Nie zrozumiał prosto i jasno wyrażonych intencji, poczuł się natomiast dotknięty. Gdybym był człowiekiem małostkowym, zacząłbym

się zastanawiać, czy w ogóle warto występować po raz trzeci w interesie pisarza.

Z umiejętności czytania w ogóle nie jest najlepiej wśród piszących. Niedawno w „Kulturze” znany publicysta napisał w sposób nieco nonszalancko o nauczycielach. Oczywiście otrzymał list od jednego z pedagogów, który to list „Kultura” skwapliwie wydrukowała. Wynika z tego, że ów pan poczuł się obrażony, choć naprawdę powodów do obrazy nie było. Znowu dało o sobie znać zjawisko nieumiejętności czytania.

Ale co się dzieje dalej? Otóż list jest pełen pretensji, lecz napisany taktownie, spokojnie i kulturalnie. I teraz sytuacja się odwraca. Oto publicysta „Kultury” — okazuje się — nie umie czytać. W komentarzu do listu pisze bowiem: „Mimo wyraźnych wysiłków ze strony dr A.J., by mnie obrazić, przeprosin nie oczekuję”.

A w liście wydrukowanym parę centymetrów wyżej nie ma żadnych, ale to absolutnie żadnych sformułowań, czy aluzji, które takie zdanie publicy-

sty mogłyby usprawiedliwić. Więc i publicysta ma kłopoty z prawidłowym odczytaniem tekstu napisanego przez kogoś innego.

Oczywiście zdarza się, że publicyści i pisarze formułują nieraz swoje opinie w sposób przewrotny, aby je można było rozumieć aluzyjnie. Stosuje się nieraz takie chwytliwe i czytelne ma prawo być nieco zdezorientowany. Taka sytuacja nie zachodziła w żadnym z trzech przywołanych tu przykładów. Racje, opinie i intencje, wyłożone były prosto i jasno — w sposób nie budzący wątpliwości.

A jednak... Ani znany pisarz, ani znany publicysta, ani pedagog z tytułem doktora nie potrafi zrozumieć inkryminowanych tekstów.

O co więc chodzi? Czy tylko o umiejętność czytania, czy może raczej o przerosł miłośnika własnej, tak wyobrazionej, że aż utrudniającej percepcję prostych tekstów? Może więc nie o swoisty analfabetyzm tu chodzi, lecz po prostu o... narcyzm?

WIDOK



Foto: Archiwum

LEWYM OKIEM

BRZEG SŁONIA

Nieraz zdumiewa mnie dziwny brak słuchu czy może brak wyobraźni u ludzi, którzy z racji pełnionych funkcji muszą wymyślać nazwy różnych instytucji, przedmiotów, ulic, hoteli i tym podobnych. O występach językowych w odniesieniu do wyrobów rynkowych pisało już wiele razy, wymieniając owe zwisy męskie i szyjki dostanie gruntu, co nie przeszkadza że takie same działalności pojawiają się co dzień na nowo. Nie ma silnych na bzdury i maniaki pęd do tworzenia coraz paskudniejszych i głupszych zbitek słownych. Nie ma silnych na czyież urojenie, że wyroby ciastkarskie to bliźni lepiej niż ciastka. „Zapraszamy na kawę i wyroby ciastkarskie” — wisi napis w witrynie jednej z kawiarni w śródmieściu Łodzi. Dobrze, że nie napisano: zapraszamy na wyroby kawiarckie i ciastkarskie, lub jeszcze gorszej: na degustację używek płynnych połączonej z konsumpcją wyrobów ciastkarsko-pierniarskich.

Nie lepiej dzieje się w odniesieniu do nadawania nazw ulicom, o czym również wiele pisano. Parę razy zdarzyło mi się usłyszeć wielką radochę z warszawskiej ulicy Kubusia Puchatka. Pewnie, że ładniejsza to i zgrabniejsza od ulicy Akurat, Kalambur, Lelum (?), Prozy, Szarady (tuż obok Zagadki...) i Tyrady. Ale dlaczego to honorować aż ulicą sym-

paticznego misia z angielskiej książki dla dzieci. skoro nie ma swojej ulicy ani nasz rodzimy Koziołek-Matolek, ani Jacek Placek, ani nawet Ordynat Michorowski? I jak to wygląda — taki na przykład tytuł na pierwszej stronie gazety: Krwawa tragedia na Kubusia Puchatka...? Albo nekrolog po wybitnym człowieku, zmarłym przy ulicy Kubusia...?

Nie mają szczęścia do nazw nasze hotele. W każdym mieście aż do znużenia musi być „Grand”, „Centrum” i „Savoy”. Jak już wymyślimy coś innego, to „Mazowiecki” — nazwę nie do zapamiętania dla cudzoziemców. „Mazowiecki” jest w Łodzi, która nie leży na Mazowszu. „Centrum” jest też w Łodzi, chociaż istnieje tu jeszcze dom towarowy „Central”, spółdzielnia Centrum i parę pomniejszych centrall. Oczywiście musi też być „Polska” — jeśli nie hotel, to jeszcze lepiej: knajpa. Wyobraźcie sobie w Anglii knajpę o nazwie „Great Britain”, albo we Francji bar pod szyldem „La France”. Ciekawe, że w niejednej z naszych malutkich miejscowości czasowych stać nas było na dziesiątki doskonałych, krótkich, pamiętliwych imion dla pensjonatów, a w wielkich miastach nie tylko Centrumy, Grandy i Bristole.

A oto czytamy o powstaniu w Warszawie nowej grupy plastycznej pod nazwą „Bok Wyspy”. Strasznie to jakieś topor-

ne, bez wdzięku i bez sensu. Czy ktoś należący do tej grupy nazywa się członek boku wyspy? Czy bok wyspy to brzmi choćby o milimetr lepiej niż na przykład Brzeg Słonia, czy kojarzy się w jakikolwiek sposób z działalnością młodych (chyba) artystów?

Podobnie zresztą nie lubię i nie umiem sobie wytłumaczyć sensu nazwy „Budka Suflera” dla zespołu, śpiewającego piosenki. Śpiewać będzie budka suflera...? Niechby sobie była śpiewająca budka, ale dlaczego suflera?

Wracając jeszcze do nazw nadawanych ulicom, nie bez znaczenia jest także taki oto szczegółik: nazwy dwu, trzywyzwowe i dłuższe powodują, że adresy nie mieszczą się na drukach pocztowych, a depesze kosztują od razu dwa razy drożej. Byłem świadkiem wielkiego zdenerwowania jednej pani, która z Wiednia chciała nadać depeszę na ulicę Rewolucji 1905 roku w Zgierzu. W Wiedniu płacić się jak wiadomo szylingami, które można kupić tylko za dolary. Urzędniczka zażądała zapłaty za trzy słowa i miała rację. Pani zrezygnowała z depeszy, bo nie starczyłoby jej szylingów na obiad.

Jak to trudno upowszechnić i wpoić wszystkim przekonanie, że każda decyzja wymaga wielorakiego na sprawę spojrzenia, wymaga uwzględnienia tysiąca aspektów, skutków, konsekwencji. Inaczej mówiąc: wymaga po prostu wyobraźni.

CWIEK

PROPOZYCJE

ŚWIAT bez TAJEMNIC

Panuje powszechne przekonanie, że świat pozbawiony wszelkiej tajemniczości spraw nie odkrytych i nie zbadanych, pozbawiony zjawisk, przez dzisiejszą naukę niewytłumaczalnych, byłby nad wyraz nudny i nieatrakcyjny. A tak, licząc tajemnice i sprawy nie wyjaśnione absorbują tych, którzy się zajmują ich rozwiązaniem, tych, którzy o tym piszą, jak również tych, którzy o tym czytają. Każdy ma więc wrażenie, że żyje na naiekawszym ze światów.

Cóż byśmy robili, szczególnie latem, gdyby w szkockim jeziorze Loch Ness nie żyła legendarna „Nessie”? Ten wodny potwór, widziany przez mieszkańców nadbrzeżnych osiedli, jak i przez turystów, ciśnie intruzje, dobudza wyobraźnię i nakłania do wyjaśnienia tajemnic. Interesuje on w jednakowym stopniu ludzi nauki i laików. Mimo wielu prób naukowych nadal jest potworem hipotetycznym. W 1972 roku udało się nawet zrobić podwodne zdjęcie, na którym widać było coś w rodzaju pluteł, ale tajemniczo „Nessie” i tak to nie wyjaśniło. W trzy lata później zrobiono zdjęcia, na których widoczna była głowa potwora oraz cały leży tułów z długi szwia i płetwami. Niestety i te zdjęcia nie stały się dowodem przekonującym o istnieniu „Nessie”. Tak więc istnienie „Nessie” nadal jest hipotetyczne. Nad jezioro Loch Ness ścigają tłumy turystów, a naukowcy organizują kolejne wyprawy.

„Nessie” nie jest jedynym o-

tworem zamieszkującym jeziora i morza. Bogiem okolic każdego wodnego zbiornika chciałby mieć swego, ukazującego się nielicznie, legendarna bestie, dzięki której żyłoby dostatnio i wygodnie. Niestety nie wszystkie tajemnice dają się w tak prosty sposób wytłumaczyć. Wszakże znalazła się ludźmi, którzy będą chcieli nawet na najbardziej fantastycznych zjawiskach ubić swój interes. Wspomina o tym w „Poliitve” znany polski żeglarz i dziennikarz, Krzysztof Baranowski. Píše on o tym, że w Trójkacie Bermudzkim wiele łachtów i statków ginie wcale nie za przyczyną tajemnych sił, a wręcz przeciwnie: Sity — sa — wprawdzie nie znane, gdyż nikt nikogo — za reke nie złapał, ale przyczyną zatonięcia sa aż nadto oczywiste. Tak więc gina w Trójkacie Bermudzkiem łachty, na które napadają handlarze narkotyków, gina również statki tzw. tancich bander — cypryjskiej, panamskiej i liberyjskiej, które sa niekiedy pływającymi wrakami, ale wysoko ubezpieczonymi. Zdarzała się w Trójkacie Bermudzkiem — jak i w ogóle na morzu — nagłe katastrofy powodujące szybkie zatonięcie statków czy łachtów Krzysztof Baranowski sugeruje więc, że nie zawsze trzeba szukać śladów na powierzchni, czasem trzeba zajrzeć w głąb morza i interesów.

Interesujące uwagi doświadczonego żeglarza nie zmieniają jednak poglądów na istnienie na naszej planecie anomalii. Stąd też Trójkąt Bermudzki poddany został wnikliwej penetracji uczo-

nych z ZSRR i USA. Uczeń w ogóle coraz częściej próbuje wyjaśnić nurtujące ludzi tajemnice. Mogłoby się wydawać, że w okresie rewolucji naukowo-technicznej nie powinno być takich tajemnic, ale właśnie postęp nauki i techniki pozwala inaczej spojrzeć na różne tajemnice i postużyć się najnowocześniejszymi urządzeniami przy próbach ich poznania.

Nowoczesna technika zastosowana do badania tajemnicy piramid Cheonsa. W piramidzie tej bowiem nie natrafiono do tej pory na mumie faraona. Jedyna znana kornora, już w momencie odkrycia, zawierała pustą sarkofag. Specjaliści przypuszczają, że mumia faraona oraz skarby sa dobrane ukryte. Spróbowano więc zrobić piramidzie „dziecie rentgenowskie”. Bez skutku. Ostatnio uczeni amerykańscy i egipscy zbadali piramidę Chefrena przy pomocy echo-sondy. I natrafili na tajemnicze pomieszczenie, którego rozmiary wskazywała, że może tam się pomieścić sarkofag i przedmioty składane zwykle w grobowcach faraonów. Czy istnieją tak jest, nikt tego nie wie. Trzeba się bowiem do tej odkrytej komory najpierw dostać. A to nie będzie takie łatwe. I bardzo dobrze. Bo cóż byłby wart świat, gdyby nie było na nim żadnych tajemnic.

MARCIN RODAK

NIE TYLKO HISTORIA

CZŁOWIEK I HISTORIA

„Uważam, że jedyny sensowny stosunek historyka do historii, to stosunek aktywny, osobisty, to trojenie jej, gdziekolwiek była, w ludziach i w rzeczach ludzkimi rękami modelowanych, w nas samych. Pasjonuje mnie historia tym mocniej, im głębiej się przekonuję, jak bardzo jest powikłana i skomplikowana, wymykająca się takiemu badaczowi, który rejestruje tylko bierne to, co mu ona podsuwa, a nie stara się jej zrozumieć”. Słowa te, umieszczone na skrzydełku obwoluty, otwierają zbiór felietonów Tadeusza Lepkowskiego, opatrzony wymownym, uogólniającym bęgiem myśli autora tytułem: „Człowiek i historia” (PIW 1977). Piękna to i mądra książka, składająca się z refleksji nad najogólniejszymi zagadnieniami nauki historycznej. Napisana przez historyka — profesjonalistę wysokiej próby, uczonoego, który w swej aktywności ba-

dawczej sięgał po najrozmaitszą tematykę — przypominmy, że jest znakomitym znawcą dziejów społecznych XIX-wiecznej Polski, a jednocześnie najwybitniejszym u nas specjalistą od historii Ameryki Łacińskiej — dotyczy zarówno spraw małych, szczegółowych. Większość składających się na nią tekstów — publikowanych jako felietony — w „Tygodniku Kulturalnym” — teraz nieco zmienionych i uzupełnionych, powstała na marginesie konkretnych, szczegółowych lektur autora, czasem oglądanych przez historika spektakli teatralnych czy telewizyjnych.

„Dobrze wiemy — pisze T. Lepkowski — że nasz współczesny świat wysoko ceni fachowość i ścisłą specjalizację. Kult szczegółowej kompetencji kwitnie zarówno w nauce, jak w obrębie techniki oraz zarządzania, polityki, leźnictwa i sportu. Można wprawdzie żywić wątpliwości co do sensow-

ności ciągłego (czy zawsze koniecznego?) podziału nauk i umiejętności na coraz to mniejsze całości, można sobie zdrowo pokpiwać ze specjalistów od leczenia prawego kolana, ekspertów od przedniego prawego koła samochodu marki „X” lub ludzi wtajemniczonych w arkana handlu plocią i tylko plocią, lecz niczego istotnego w owych dziedzinach raczej tu nie zmieni”. Dążenie do coraz większej specjalizacji nie omiędło oczywiście i nauki historycznej. Nie jest ono zresztą wynalazkiem dopiero naszych czasów: jeszcze na przełomie XIX i XX stulecia wielokrotnie pokpiwano siebie uczonych specjalistów od religijnej historii północno-zachodnich Niemiec w trzecim pięciowieku XVI wieku, ze szczególnym uwzględnieniem jego pierwszej połowy. Akurat tak samo, jak dziś pokpiwamy ze specjalistów od wydarzeń 1905 roku w Łodzi w czerwcu, na odcinku od ulicy Zielonej do dziś noszącej taką nazwę ulicy Próchnika. Tak, jeśli przypatrzymy się najszej — nie tylko polskiej zresztą — bieżącej

produkcji historycznej, otrzymujemy obraz — jak celnie powiada T. Lepkowski — „historii posiekanej, wyspecjalizowanej aż do dna, zmonografizowanej, uprzyzknowionej. I znowu: ten jest od historii proletariatu wiejskiego w powiecie „X” w latach 1896 i 1897, tamtem od włóknarzy bawelnianych w grodzie „Y” w okresie narastania kryzysu... ów zaś od ideologii lewego skrzydła stronnicza „Z” w okresie, między jego III a IV kongresem”.

Pewne niepokojące procesy i zjawiska dobrze jest czasami ukazywać w krzywym zwierciadle. Jeżeli T. Lepkowski tak właśnie postępuje, czyli to nie dlatego, aby pomnożyć katalog docipów o rozmaitych pracach przyczynkarskich i ich autorach, o owej historii montowanej z fizek przy minimalnym udziale umysłu badacza. Nie chodzi tu — ani piszącemu te słowa — ani występującemu przeciwko nieuchronnej specjalizacji, ustawicznemu rozgałęzianiu się nauki historycznej, tak samo jak innych nauk, na coraz to nowe kierunki ba-

dawcze. Ale trzeba również widzieć skutki specjalizacji nadmiernej, graniczącej — jak powiada autor — z nauką klaustrofobią, histori poszufadkowanej i pofizskowanej do tego stopnia, że przekształca się ona we wprawdzie krytyczną i metodyczną, robioną podług wszelkich reguł „sztuki”, ale pseudohistorię. T. Lepkowski upomina się o aktywne przeciwdziałanie nadmiernej specjalizacji i wysuwa w tej mierze wartościowe postulaty. Po pierwsze — proponuje „dobrze zorganizowaną, zespołową pracę badawczą”; po drugie — bardziej intensywną, rzeczywistą, nie zaś werbalną poznanie marksistowskiej metodologii historii, jako teorii, „która jest z natury rzeczy integralistyczna, przeciwna „szufadkowaniu”. I wreszcie postulat trzeci: „śledzenie do robku „sąsiadów”.

Historiografia współczesna — myślę oczywiście o ambitnym dziełopisarstwie, jakiego nie brakuje również, i w naszym kraju — dobrze uswiad-

miła sobie, że dzieje, jako u-stawiczna zmienność, nie zna-ją jednego rytmu czasu. Roz-maite sfery społecznej rzeczywistości, badanej przez historyka, mają swoją własną, własną siebie, zróżnicowaną w poszczególnych epokach dziejowych, rytmikę zmian. My, historycy, chcąc nie chcąc, często — zwłaszcza kiedy skupiamy się na krótkich wycinkach procesu dziejowego — tego zjawiska nie jesteśmy w stanie dostrzec. Bo czynimy na minionej rzeczywistości ujednolicony, zunifikowany czas kalendarza i zegarka. Przy zbyt wycinkowym ujęciu przedmiotu musi to prowadzić do falsyfikacji otrzymanego obrazu. Unikniemy jej wówczas, kiedy będziemy potrafili ogarnąć owe zróżnicowanie rytmów stawiania się dziejów w całości, a więc wtedy, kiedy zobaczymy się na całościowy ogląd badanych przez nas procesów i zjawisk.

ANDRZEJ F. GRABSKI